TYGODNIK KATOLICKI.

№ 9. Grodzisk, 4 marca 1870. № 9.

Tygodnik katolicki wychodzi co tydzień w Piątek. Cena prenumeraty 1 tal. 20 sgr. ćwierćrocznie. Listy z zagranicy adresować należy do Poznania (Posen, Grand Duché de Posen). Redakcyja odbiera tylko frankowane korespondencyje. Rękopisy zwracają się tylko na wyraźne poprzednie żądania. Po użyciu ulegają niezwłocznie zniszczeniu.

Spis rzeczy: Wiadomość. — *Korespondencye:* Z Rzymu. — Z Miasta. — Rzut oka itd. — Oświadczenie. — Przemowa Ojca św. — Kościół katolicki itd. — *Wiadomości potoczne.* — *Kronika soborowa.*

Wiadomość

o Missyi ks.ks. Zmartwychwstańców w Adryanopolu

przez

ks. H. Kaysiewicza,

Przełożonego tegoż Zgromadzenia dla rady Bractwa świętego Józefa napisana.

I.

Missya bulgarska ks.ks. Zmartwychwstańców założoną została z rozkazu Ojca św. przez Karola Kaczanowskiego, który przybywszy do Adryanopola w lipcu 1863 roku w towarzystwie jednego braciszka, przedstawiony został osobiście celniejszym katolikom tego miasta przez Arcybiskupa Brunoniego, delegata apostolskiego w Turcyi.

Rozpatrzywszy się w stosunkack miejscowych, O. Kaczanowski uznał za właściwe wybrać siedlisko dla Missyi nie w samym Adryanopolu, ale na przedmieściu Kirszhanne, o pół mili od miasta leżącém. Ludność Adryanopola, wynosząca około 150,000 mieszkańców, jest mieszana i składa się z Turków, Ormian, Greków, Żydów i Bulgarów. Ci ostatni najliczniejsi, ale i najubożsi zarazem, stanowią całą klasę służebną i wyrobniczą w mieście. — Kirszhanne przeciwnie, osiedlone jest przez samych Bulgarów, którzy trudnili się chowem jedwabnictwa i byli dość zamożni, dopóki zaraza, która padła na jedwabniki przed niewielą laty, niewytrąciła im z rąk tego przemysłu. Swoim kosztem zbudowali oni tam cerkiew i utrzymują przy niéj szkołę. Ale tak w szkole, jak w cerkwi, wszystko odbywa się po grecku: i to było może powodem, że ruch katolicki, po którym Bulgarzy spodziewali się przedewszystkiem nabożeństwa i wychowania swych dzieci w języku narodowym, objawił się na Kirszhanne dość silnie. Część tamecznych mieszkańców, oświadczywszy się za Unią, utworzyła osobną gminę, zbudowała nową cerkiew i uznała przy niéj swym proboszczem, popa Rafała. Była więc parafia katolicka, ale niedostawało w niéj szkoły. To też, gdy rozeszła się wiadomość, że przyjechali z Rzymu Missyonarze z zamiarem by uczyć dzieci bulgarskie, proszono O. Kaczanowskiego, by osiadł na Kirszhanne.

Nająwszy ogromną szopę, która służyła niegdyś do chowu jedwabników, O. Kaczanowski zbudował w niéj z desek kaplicę, cele dla Missyonarzy i szkołę. Kupiono piece, ławki, tablice i z dniem Wszystkich Świętych otworzono w r. 1863 szkołę; miał też już do pomocy O. Tomasza Brzeskę i dwóch Braci nauczycieli, którzy w Październiku tego r. do Adryanopola przybyli. Od razu zgłosiło się przeszło czterdziestu chłopców. Była to szkółka elementarna, do któréj dodano naukę śpiewu kościelnego z wielką pociechą rodziców i dzieci; a w nagrodę, pilniejszym i starszym uczniom, O. Kaczanowski dawał lekcye języka francuzkiego, do którego Bulgarzy niezmierną mają ochotę, widząc w nim dla siebie jakoby rodzaj patentu na ludzi europejskich. Lekcye te przysporzyły Szkole więcéj jeszcze uczniów a nietylko unickich: owszem, większa ich część do schyzmy należała. Przestraszony tém metropolita schyzmatycki, gdy rozpuszczane na Missyonarzy potwarze, nie odstręczały od nich mieszkańców, rzucił klątwę na rodziców, którzyby dzieci swoje posyłali do szkoły katolickiéj. I to nie wiele pomogło. Bulgarzy chcieli się uczyć, uczyć się po bulgarsku, a tego właśnie nie dawała szkoła Metropolity. Udano się zatem do innego sposobu. Z wiosną 1864, agenci rosyjscy otworzyli tuż obok domu Zmartwychwstańców swoję własną szkołę, uposażoną dostatnio, w któréj dzieci, prócz nauk otrzymywały bezpłatnie książki i ubranie. Rzecz oczywista, że tego rodzaju konkurencyi Missyonarze katoliccy wytrzymać nie mogli: liczba chłopców w ich domu zmniéjszyła się znacznie, tak że nowy rok szkólny 1864—5 trzeba było zaczynać z 20 uczniami.

Nie zupełnie wiodło się szkole rosyjskiéj. Nie przywiązywały się do niéj dzieci bulgarskie, bądź dla tego, że szkoła aż trzy razy w ciągu roku zmieniła nauczyciela, bądź też, że podarki nie były tak częste, jakby sobie tego życzyła strona interesowana. Nieznacznie poczęto do nas powracać, chociaż długo jeszcze nie mogliśmy odzyskać pierwotnéj liczby uczniów. Tymczasem, z przybyciem O. Kobrzyńskiego (pod koniec r. 1864), Missya, prócz swego Dyrektora, czterech liczyła nauczycieli: rozdzielono zatem uczniów na trzy klasy, wedle ich wieku i wykształcenia, przybrano nowe przedmioty oraz świeckich profesorów dla nauki miejscowych języków i wykład szkolny począł iść odtąd trybem regularnym. Odtąd też Szkoła coraz więcéj się rozwijała, z czasem przybyła jéj czwarta klasa; a urządzane co rok, w miesiącu wrześniu, uroczyste popisy i rozdania nagród zwabiały, prócz władz miejscowych, duchownych i cywilnych i prócz konsulów zagranicznych, wielką liczbę rodziców i publiczności, niezwykłym w tym kraju widokiem mocno zaciekawionéj.

Wszakże, nie na saméj Szkole ograniczały się prace Missyonarzy. Było to wielką dla Missyi korzy-

ścią, że dwaj jéj członkowie: O. Brzeska i O. Kobrzyński przyjęli obrządek unicki. — O. Brzeska, obdarzony niepospolitą do języków zdolnością, prędko wyuczył się po bulgarsku, tak, że w tym języku mógł miewać kazania. Pierwszą ich próbę odbył w kaplicy missyjnéj, na nabożeństwie majowém, podobnież poraz pierwszy urządzoném w Bulgaryi. Kazania w języku narodowym wielką były i nader pożądaną dla Bulgarów nowością i tyle od razu przyciągały słuchaczy, że dla ich pomieszczenia musiano znacznie rozszerzyć kaplicę. Nie dość na tém: i w kościele głównym, na Kirszhanne, chciano słyszeć O. Brzeskę; był więc zmuszony dwa razy na dzień kazać: z rana w cerkwi bulgarskiéj, po południu w kaplicy missyjnéj. Te nauki można powiedzieć, nadały wziętość Missyi i rozgłosiły imię kaznodziei. Rozeszła się w tym czasie wieść, że Rzym ma zamianować nowego dla Bulgarów biskupa; i zaraz z wielu stron odezwały się życzenia, by rzymski Missyonarz został Władyką. Tłumił te głosy, jak mógł, O. Brzeska, bo jemu, jak nam wszystkim, wiele zależało na tém, by nie odjąć pracy naszéj charakteru bezinteresowności zupełnéj, w krótce też wyświęcenie biskupa Rafała położyło szczęśliwie koniec tym niemiłym dla nas domniemaniom.

Podobnie jak O. Brzeska oddawał usługi w Adryanopolu, O. Kobrzyński oddawał po wsiach okolicznych, z których każda prawie pewną liczbę Unitów liczyła, niedość jednak zamożnych, by mieć własną cerkiew i własnego popa. Na każde większe święto, a zwłaszcza też na Wielkanoc, Zielone Świątki i w ciągu wakacyi, O. Kobrzyński odbywał kilkunastudniowe wycieczki, w towarzystwie jednego braciszka: obaj pieszo, po apostolsku, wioząc z sobą na ośle potrzebne do mszy św. przyrządy. Przyjmowali go Unici z nieudaną wdzięcznością, chciwie słuchali słowa Bożego i mszy św. A gdy zasiliwszy ich Sakramentami, młody Missyonarz w dalszą wybierał się drogę, zatrzymywali go nieledwie przemocą i wysyłali nieraz deputacye do Adryanopola, z prośbą do Przełożonego, by raczył zostawić między nimi gorliwego zakonnika i z przyrzeczeniem, że o jego potrzebach pamiętać będą. Te wycieczki pilnie powtarzane ocaliły można powiedzieć Unią w okolicach Adryanopola, dodawały odwagi i stałości Unitom, wystawionym często na prześladowania od liczniejszych schyzmatyków. Ale i dla tego Missyi były one wielce korzystne, bo postawiły ją w bezpośrednim stosunku z wieloma odleglejszemi rodzinami, z których nie jedna złożyła heroiczne choć ciche dowody swojéj wierności dla Unii. Przyspieszyły utworzenie internatu, gdy od takich właśnie rodzin dochodziło nas życzenie, by ich dzieci chowały się w domu Missyonarzy; w końcu przyniosły Missyi i Zgromadzeniu dwóch nowicyuszów bulgarskich. Tak jedna czynność ledwo rozpoczęta dawała drugiéj początek i jeden drobny, na wpół otrzymany rezultat uściełał drogę do następnych.

Wiadomo, że odjazd Sokulskiego do Odessy pociągnął do apostazyi prawie całe duchowieństwo bulgarskie, które poprzednio wraz z nim do Unii było przystało. Jednak w Adryanopolu, prócz Rafała, kilku okolicznych popów dochowało swéj wiary Rzymowi; w ślad ich wstąpiły nieco późniéj trzy klasztory tak zwanych Kaługierów i Kaługierek, któremi rządził sędziwy archimandryta Pantalejmon. Między tém duchowieństwem a Missyonarzami wywiązały się wnet przyjazne stosunki. Przychodząc do miasta wspomnieni popi, nie omieszkiwali nigdy odwiedzać domu missyjnego, gdzie ich czekał ubogi wprawdzie, ale gościnny stół. Chętnie więc zostawali dzień jeden i drugi, biorąc udział w spólnem nabożeństwie, słuchając uwag i wskazówek, których im udzielali Missyonarze. Prawie z każdym potrzeba było powtarzać naukę katechizmu i tłómaczyć im — tak wielkie było nieuctwo, — nietylko różnicę jaka zachodzi między Kościołem prawdziwym a schyzmą, ale najpierwsze, zasadnicze dogmata wiary chrześciańskiéj. Zjawili się przytém już w dorosłym wieku kandydaci do stanu duchownego. Z tych Zelasko wyświęcony po roczném blisko ćwiczeniu, osadzony został jako probosz w małéj Tyrnawie; inny, nazwiskiem Stojan, trzy lata przepędził na nauce w domu missyjnym i dziś jest niezaprzeczenie jednym z najlepszych księży kościoła bulgarskiego.

W roku 1866, pop Rafał, który zrazu był administratorem bulgarskim, wyświęcony został na biskupa i wyraził życzenie, aby Szkoła przez nas otworzona a blizko cerkwi katedralnéj leżąca, do niego należała. Nie wypadało odmawiać. Lecz że z drugiéj strony Missya nie miała mocy oddawać się całkiem pod kierunek wschodniego Biskupa, ile że zależną była od Propagandy i od swéj władzy zakonnéj, należało opuścić Kirszhanne i przenieść się do miasta. W początkach 1867 kupiono dom w samym środku miasta, w części ormiańskiéj: ten jak większa część domów w tym kraju, choć obszerny i jednopiętrowy, miał wszystkiego cztéry izby, a w środku ogromną na przestrzał sień, zwykłe przytulisko dla drobiu i swojskich zwierząt. Rzecz prosta, że takie pomieszkanie nie mogło służyć za siedzibę dla Missyi, która i Szkołę miała pomieścić i kaplicę. Trzeba było rozkład domu przemienić całkowicie, a poniesione ztąd niemałe wydatki pokryło, z wdzięcznością to wyznaję, w znacznéj części Szanowne Bractwo św. Józefata.

W tym czasie przybył nam z Rzymu do pomocy O. Rafał Ferrigny. A gdy skutkiem odjazdu z Adryanopola zamieszkałego tam Franciszkana, proboszcza parafii łacińskiéj, musieliśmy na prośbę jego zająć się tymczasowie, także i łacinnikami; gdy nadto osiedlenie się nasze w środku miasta wprowadziło nas w częstszy i łatwiejszy stosunek z rodzinami wykształceńszemi, które pragnęły korzystać dla swych dzieci z naszego zakładu, wyrodziła się ztąd myśl utworzenia (obok bulgarskiéj), Szkoły łacińskiéj, albo raczéj francuzkiéj. Kierunek jéj wziął na siebie O. Ferrigny. Zrazu o jednéj tylko klasie, dziś podobnie jak bulgarska na cztéry klasy się dzieli.

Po zakupieniu na własność domu i onego przerobieniu (do czego prócz pomocy Bractwa, jak wspomniałem, przyczyniła się głównie hojność rządu francuzkiego), gdy Missya rzec można, była już stanowczo w Adryanopolu ufundowana, dwie szkoły przy niéj otwarte, a Missyonarze zaczęli zyskiwać pewien wpływ na ludność miejscową, O. Kaczanowski dotychczasowy Przełożony, został przywołany do Rzymu w r. 1868, gdzie główny dom Zmartwychwstańców potrzebował

jego pomocy i długiego doświadczenia. Dyrekcyą missyi wziął na siebie O. Brzeska, nic z dawnych swych obowiązków nie opuszczając: owszem, do dawnych przybyły mu nowe, bądź przez służbę przy Biskupie, bądź przez większą zażyłość z duchowieństwem unickiem, bądź przez spowiedzie, do których teraz i łacinnicy się zgłaszali, bądź wreszcie przez lekcye katechizmu w domach możniejszych, od których Missyonarz nie mógł i nie chciał się wymawiać. — Tymczasem Szkoła, główny przedmiot troskliwości i zajęcia, zaczęła sama świadczyć o sobie. Dochodziły nas wyznania patryotów bulgarskich, że zakład nasz (pomimo jego ubóstwa i drobnych rozmiarów) uważają za główną niejako dźwignię oświaty narodowéj w swym kraju. Egzamina publiczne, urządzane w r. 1869 z większą już wystawą i na sposób bardziéj francuzki, zjednały Szkole wielostronne poklaski. Niektórzy cudzoziemcy w Adryanopolu, którzy naszemu zakładowi niekoniecznie byli życzliwi, i w miejsce Zmartwychwstańców chcieli byli może widzieć inne Zgromadzenie, posługi Missyonarskie pełniące, po examinie zeszłorocznym zbliżyli się do Przełożonego Missyi i rzekli doń z szlachetną otwartością: „Byliśmy wam dotąd przeciwni, ale widocznie to miejsce do was należy. Zdobyliście je waszą pracą!“

Nim skończyły się przeszłoroczne wakacye, przybył Missyi nowy sukurs z Rzymu. Przyjechał O. Szymoński z dwoma braćmi do zarządu ekonomicznego oraz z jednym alumnem teologii, który w nauczaniu katechizmu wiele już miał wprawy. Tak znaczna pomoc dozwoliła O. Brzesce wykonać myśl oddawna zamierzoną, w części nawet rozpoczętą, lecz która do zupełnego rozwinięcia potrzebowała większego w ludziach zasobu. Chcę mówić o internacie. Dla przygotowania młodzieży do stanu duchownego, internat potrzebny jest wszędzie; lecz tém bardziéj konieczny jest na Wschodzie, gdzie moralność stoi tak nizko i gdzie zakorzeniony haniebny występek, naraża chłopców na zepsucie w samém już dzieciństwie. Piętnastu chłopców znalazło się gotowych do internatu. Dla pomieszczenia téj dziatwy, najęto dom przy téj saméj wprawdzie co Missya ulicy, ale o kilka minut oddalony: tam ona mieszkała pod dozorem kilku zakonników; dla nabożeństwa zaś, nauki i pożywienia przychodziła do głównego domu. Tymczasem rozpoczął się nowy rok szkólny z 53 uczniami rozdzielonymi na dwie szkoły: bulgarską i francuzką, z których każda po cztery mogła liczyć klasy. Lokal okazał się za szczupły. W całym domu nie było tyle izb, ile chcielibyśmy mieć klas; musiano w jednéj izbie dwie klasy gromadzić. Do téj niedogodności przyłączyła się inna jeszcze ważniejsza, pochodząca z odosobnienia internatu. Nie można było narażać dzieci na ciągłe marsze z domu do domu, i to jeszcze w zimowéj porze, o zbyt wczesnéj albo o spóźnionéj godzinie. Obok Missyi znajdował się dom, na który oddawna z upragnieniem spoglądali Missyonarze, dom z gruntem dość obszernym, by na nim i kościół postawić i ogród ku zabawie dzieciom założyć. Dom był na zbyciu: właściciel żądał zań 12,000 franków.

Pieniędzy nie było, ale potrzeba okazywała się naglącą i tém więcej doradzała ufności w Opatrzność Boską. I w istocie, jakby na zachętę, przyszło niespodziewanie w tym właśnie czasie, 4000 fr. od Propagacyi Wiary; zaraz więc O. Brzeska zdecydował się kupić, co miał zapłacić, reszty dopożyczyć, choćby na wysoki procent. Nie mogłem odmówić mego przyzwolenia, chociaż widziałem jak wielki ciężar bierze na siebie. Pożyczono brakującéj summy na 12% i w końcu grudnia r. z. dom rzeczony przeszedł na własność Missyi. Tymczasowo dzieci znajdą w nim pomieszczenie; z wiosną atoli trzeba go będzie przerobić i do potrzeb internatu wewnątrz zastósować. Nowe ztąd koszta i ciężary, które radość z lepszego Missyi ulokowania zatruwają. Lecz aby je w całéj jasności przedstawić, muszę choć w kilku cyfrach pokazać stronę finansową Missyi.

II.

Missya liczy obecnie *dwunastu* członków.

W roku bieżącym zamierzam wysłać, zaraz po Wielkiéj Nocy, *dwóch* nowych pracowników. Są oni niezbędnie dla podniesienia Szkoły do sześciu klas i dla utrzymania w niéj nieprzerwanego ciągu wykładów, pomimo wycieczek missyonarskich, których (jak Szanowna Rada uzna zapewne) zaniedbywaćby się nie godziło.

Utrzymanie zakonnika w Adryanopolu (obliczając je jak najskromniéj) kosztuje franków *pięćset;* utrzymanie zaś jednego interna franków *trzysta.* Do tego wydatku doliczyć należy pensye nauczycieli świeckich i kupno szkólnych przyborów, których począwszy od papieru i piór, aż do książek trzeba Bulgarom dostarczać. Zwyczajny więc budżet wydatków na rok 1870 i dalsze, przedstawia się jak następuje:

Wydatki zwyczajne:

14 członków Missyi, po 500 fr.	7000 fr.*)
15 chłopców w internacie po 300 fr. . .	4500 „
Pensye nauczycielskie	3000 „
Utensilia szkólne	500 „
Razem	15,000 fr.

Dochody przewidywane:

Od Towarzystwa *Szkół Wschodnich* . . .	5000 fr.
Od Towarzystw Austryackich i z miejscowych źródeł	2000 „ **)
Razem	7000 fr.

Pozostaje niedoboru fr. 8000.

Dla pokrycia onego zanoszę prośbę do *Propagacyi Wiary.* Ale *maximum,* którego od téj instytucyi żądać mogę, jest 6000 fr. bez wielkiéj wprawdzie nadziei, bym i tę summę w całości otrzymał.

O brakujące zaś 2000 fr. upraszam Szanowną Radę Bractwa św. Józafata.

Taki jest budżet zwyczajny, z wydatkami niewątpliwemi, z dochodami dopiero prawdopodobnemi. Atoli

*) Oszczędność na dwóch członkach Missyi, którzy dopiero po Wielkiéj Nocy do Adryanopola przyjadą, użytą będzie na koszta ich podróży, ale nie pokryje jéj całkowicie.

**) Niektórzy rodzice zamożniejsi płacą za naukę swych dzieci w Szkole francuzkiéj. Ale więcéj nad 60 do 80 fr. od ucznia spodziewać się w ciągu roku nie można. —

trudniejszy orzech do zgryzienia stawia dom świeżo nabyty. Cięży na nim dług 8000 fr., o którego zaspokojenie tém pilniéj musimy się starać, że od niego opłacać trzeba 960 fr. rocznéj prowizyi.

Cena domu jak wspomniałem . .	12,000 fr.
Przerobienie domu i kupno zbywawających mebli	4000 „
Razem	16,000 fr.
Na to otrzymaliśmy od *Propagacyi Wiary*	4000 fr.
A od *Szkół Wschodnich* spodziewam się otrzymać	5000 „
Razem	9000 fr.
Pozostaje z tego tytułu niedoboru .	7000 fr.

III.

Rada Bractwa przebaczy mi, że do powyższych żądań ośmielam się dodać kilka jeszcze uwag. Mają one na celu przyszłość nietylko naszéj Missyi, ale całego Kościoła bulgarskiego; tém samém więc odnoszą się do jednego z głównych, jak na teraz zadań Bractwa św. Józefata.

Jakkolwiek szczupłe są i całkiem niedostateczne allokacye, które z Francyi dochodzą, niemniéj widoczném jest z powyższego sprawozdania, że Missya Zmartwychwstańców w Bulgaryi głównie żyje groszem francuzkim, wydzielanym, bądź przez Towarzystwo religijne, bądź też (jak to kilka razy się zdarzyło w latach poprzednich) z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Odbieraliśmy wprawdzie drobne ofiary od towarzystw austryackich; znać jednak trzeba, że gdyby zabrakło funduszów z Francyi, nie byłoby możności, dziś przynajmniéj, utrzymania Missyi.

Francya jest krajem bogatym, to prawda, ze wszystkich narodów najwięc-j wysyła Missyonarzy; a pomimo to, nietylko swoich, lecz i obcych, obdziela ona swą jałmużną. Lecz czyż nie byłoby ze wszech miar właściwiéj, czy nie pełniejsza byłaby przed Bogiem narodu naszego zasługa, gdyby Missyonarze — Polacy bez obcéj pomocy obejść się mogli; gdyby ten sam naród, który ludzi dostarczać zaczyna do służby missyonarskiéj, tym ludziom także dostarczał środków do spełnienia swego obowiązku? Bez tych środków czynimy tylko jakby połowę ofiary, więc i połowę mamy tylko zasługi.

A wszakże, nie sama tylko większa narodu zasługa, ale konieczność utrzymania tego co istnieje, przemawia zatém aby Missyonarze — Polacy, polską przedewszystkiém żyli ofiarnością. Póki we Francyi pokój panuje wewnętrzny, póty pomoc od niéj jest pewna; lecz zmniejszy się ona od razu bardzo dotkliwie, a w końcu ustanie, jeśli w tym kraju (jak tego obawiać się można) wybuchną rewolucyjne wstrząśnienia. To niebezpieczeństwo przewiduje już dzisiaj wielu naczelników Missyi. I tak, że tu jeden tylko przykład zacytuję. Ks. Lavigerie, arcybiskup algierski, który w ostatnich latach, w swéj dyecezyi, tak ogromne wzniósł zakłady, nie chcąc narażać ich na upadek prawie niechybny w razie wstrząśnień we Francyi, wszystkie niemal ofiary pieniężne jakie z tego kraju go dochodzą, obraca obecnie na skupowanie gruntów, których uprawa ma zapewnić utrzymanie jego chrześciańskiéj w Algierze instytucyi. Słusznie bowiem sądzi ów Sługa Boży równie gorliwy jak przezorny, że naród zaprzątnięty wojną domową, nie będzie miał dość sił i swobody do ofiar na pracę apostolską.

Jeśli takie niebezpieczeństwo zdaje się grozić sprawom tak blizko, jak w Algierze, z interesem Francyi związanym, to cóż mówić o Missyach odleglejszych, przez obcy naród podejmowanych, jak np. w Bulgaryi? Oczywiście pójdą one w zapomnienie, chwilowe wprawdzie, ale dość długo trwające, aby przerwać i zniweczyć czynność rozpoczętą. Wówczas, nietylko Missya Zmartwychwstańców w Adryanopolu, ale cały kościół unicki w Bulgaryi, który także żyje z ofiar francuzkich*), musiałyby upaść niechybnie, jeśli zawczasu nie będą przygotowane środki ratunku.

Te środki, gdzie znaleść jeśli nie w krajach słowiańskich, a przedewszystkiem w Polsce? Prace apostolskie w Bulgaryi mają na celu przywrócić do jedności z Rzymem lud nam pokrewny, słowiański i szerzyć chwałę Bożą w obrządku unickim, który jeśli Słowiańszczyznie najbardziéj może właściwy, to dla Polski szczególnie jest ważny. Przystoi Polsce, przystoi mianowicie Bractwu, które nosi imię wielkiego Unii Męczennika, wziąść na siebie ciężar apostolstwa unickiego i stworzyć jakby dzieło Propagacyi w obrządku Unickim, na wzór owéj zachodniéj, a głównie łacińskiemu rytowi, służącéj, *Propagacyi Wiary.*

Bez wątpienia, w dzisiejszym swym składzie Bractwo św. Józefata nie jest w możności podołać tak wielkiemu zadaniu. Ale z wielkością obowiązków przybędzie mu, ufam, i sił. I może właśnie dlatego, jeśli mi wolno zrobić to przypuszczenie, wzrost jego był dotąd tak powolny, że cel i zakres działania nie był dość widoczny, ani pomoc od niego tak pożądana i tak konieczna, jak w blizkiéj przyszłości. Skoro Bractwo przejmie się tém uczuciem, że ciężar apostolstwa w Bulgaryi do niego należy; że jeśli ono nie weźmie go na siebie, nikt inny go nie udźwignie; to rozumiem znajdzie się dość chętnych żywiołów, by kadry jego, i w innych, sąsiednich prowincyach rozszerzyć. Już dzisiaj na Szląsku górnym jest kilka zacnych kapłanów, których stan Kościoła bulgarskiego żywo zajmuje, i którzy nie skąpią dla niego ofiar, na jakie ich stać. Jestem pewny, nie odmówiliby oni swego udziału w pracy nad rozpowszechnieniem Bractwa w téj prowincyi. Podobniż ochotnicy możeby dali się wyszukać w Prusiech Zachodnich, a niewątpliwie w Krakowie i Galicyi. Opatrzność, kiedy na kogo wkłada jakąś missyą, dostarcza mu zawsze sposobów działania.

Rzym, 2 Lutego 1870 r., w dzień Matki Boskiéj Gromicznéj. —

Ks. Hieronim Kajsiewicz
przełożony Zgr. Zmartwychwstańców.

*) Wydatek podejmowany przez *Propagacyą Wiary* na Biskupa bulgarskiego i jego służbę, summę fr. 14,000 przewyższa. Ogólny więc wydatek na kościół Unicki w Bulgaryi, łącznie z Missyą Zmartwychwstańców, wynosi około fr. 30,000 rocznie.

KORESPONDENCYE.

(X) **Rzym** *25. lutego.*

Ojciec św., jak już pisałem, był na otwarciu wystawy sztuk pięknych z dziedziny religii, którą urządzono w monumentalnym klasztorze Kartuzów, w termach Dyoklecyana. Przyjęty przez kardynała Berardi pro-ministra robót publicznych i sztuk pięknych, zastał w klasztorze licznie zebranych kardynałów, biskupów i prałatów, jako też patrycyuszów rzymskich, profesorów i artystów, tudzież znakomitych cudzoziemców. Kardynał Berardi imieniem wystawców przemówił, wskazując, jak tu religia z sztukami pięknemi z sobą połączone, a z tego połączenia jak widoczny wpływ religii na oświatę umysłową; dodał, że i on i wystawcy nie szczędzili starań i trudu, żeby złożyć Papieżowi w téj wystawie hołd godny Piusa.

Ojciec św. w swéj odpowiedzi, mówił o wpływie religii na rozwój sztuki, wspomniał trzy arcydzieła natchnione przez religią: *Komunią św. Hieronima* (w galeryi watykańskiéj) *Mojżesza Michała-Anioła* (w San Pietro in vinculis) i samąż *bazylikę Watykańską*. „Chciałem, mówił, téj wystawy sztuk w posłudze kultu katolickiego, żeby przedstawić zebrane razem przedmioty starodawne i nowe, wzniosłe, natchnione przez religią; i żeby okazać, jak się religia przyczynia do postępu wszystkiego na świecie, więc i sztuk pięknych. Ale samaż religia nie zna postępu. Powiedziano, że i religia potrzebuje swego roku 89. Alež to bluźnierstwo, wzięte z ust wielkiego demagoga włoskiego. Religia jest niezmienna, oparta na skale, nie na piasku. Religia jest prawdą, nie pomysłem, ideą: w religii są zasady, nie idee.“

Okrzykami przyjęto ten ustęp mowy. W nim Ojciec św. zwracał się do zdania zamieszczonego w *Gazecie Augsburskiéj*, organie protestanckim, przez tęż gazetę podanego (mylnie jak dziś wiadomo) za zdanie pana de Falloux, a brzmiącego tak:

„Kościół jeszcze nie przeszedł swéj rewolucyi, potrzeba mu roku 1789.“ Kościół, to boże ustanowienie, a że boże, więc jak sam Bóg i prawda jego niezmienne, ma przejść rewolucyą, by odpowiedzieć ideałowi liberalnych katolików? I to przejść rewolucyą, podobną społecznéj z r. 89, która spogańszczyła społeczeństwo chrześciańskie? — Gdzież to nie już zrozumienie prawowierne, katolickie, ale gdzież choćby zrozumienie rozsądne, konserwatywne celu i istnienia Kościoła? To co przepowiedział Symeon, piastując dzieciątko Jezus, że będzie „na upadek i powstanie wielu w Izraelu,“ zdaje się dopełniać i na Namiestniku Chrystusowym, że dogmat o jego nieomylności stanie się dla wielu pobudką do upadku nędznego; daj Boże, żeby na odwrót i dla wielu stał się dźwignią ku powstaniu. Już gwiazdy pierwszorzędne jak O. Hyacynt, O. Gratry, Döllinger upadły z wysokości; może samże ten upadek przerazi innych i odrazi od nieszczęsnego kierunku. Ach! gdyby i ci upadli zechcieli wysłuchać tkliwego wołania Piusa, który i na wystawie po słowach nagany i potępienia pełnych, wnet się odezwał z wielką słodyczą: „Lecz Papież modli się i przebacza i gotów uścisnąć i przyjąć w objęcia tych, którzy żałując, wrócą do niego. Powtarzam — mówił daléj — Kościół jest niewzruszony, nie może się odmienić. Miałbym wiele o tém mówić, lecz wracam do wystawy.“ I mówił daléj:

„Drugi cel, który miałem, był ten, żeby okazać rozmaite ubiory i oznaki godności kościelnych, a tém samém, ażeby otrzymać, jeśli podobna, jednozgodność bardzo pożądaną. Oby mię dobrze zrozumiano. Nie mówię tu o obrządkach wschodnich, które powinny zostać czém są. Widzę prałatów Kościoła wschodniego. Niech będą spokojni. Zatrzymają oni czcigodne i święte zwyczaje swoje. Pragnę jednéj tylko rzeczy, iżbyśmy się mogli porozumieć co do większéj jednozgodności dyscypliny: co do form, nie powinny się zmienić.“

Te słowa mówił Ojciec św., szukając oczyma patryarchów i biskupów wschodnich, którzy widocznie się ucieszyli, gdy ci między nimi, co byli świadomi języka włoskiego, przetłómaczyli innym słowa Papieża. Pozbyli się wielkiego ciężaru z serca i obawy, którą w nich z pewnéj strony budzono, zaręczając, że ich chcą zlatynizować.

„Dziękuję Bogu, dodał Papież kończąc, za to że mi dozwolił otworzyć tę wystawę i dziękuję komisyi, która tyle dała dowodów gorliwości w jéj przygotowaniu; dziękuję wystawcom. W dowód méj wdzięczności odbiorą me błogosławieństwo, a niech się rozszerzy to błogosławieństwo na ich rodziny, na ich dzieła i przedsięwzięcia chrześciańskie“. *Benedictio Dei etc.* Przeciągłemi *Evviva* publiczność wyraziła najzupełniejsze uznanie prawdy słów Ojca św.

Opowiadają, że na wystawie zoczywszy pomiędzy innymi biskupa Haynalda, głośnego oponenta, we włoskiéj wymowie Ajnaldo: Ojciec św. z uśmiechem miał się odezwać: *Monsignore Aj, Aj.*

Sprawozdania jeszcze nie daję z wystawy, bo jeszcze nie uzupełniona; a potém chciałbym, niedowierzając sobie, ze znawcą jakim, a artystą z powołania uczynić dla Was ten przegląd dzieł sztuki pięknéj. Z prac polskich, są rzeźby dłuta pana Oskara Sosnowskiego, obrazy pędzla p. Nowotnego, brata Anioła Drewaczyńskiego i p. Postempskiego.

Civilta cattolica dobry artykuł zamieściła przeciw Döllingerowi. Biskup Ketteler założył protestacyą przeciw mniemaniu, jakoby mógł podzielać zdanie Döllingera. Choć we własném tylko imieniu przemawia, wyraża się, że na niektóre opinie Döllingera żaden z biskupów przystać nie powinien, i że wszystkim biskupom, którzy z powodów wedle sumienia własnego ważnych, byli przeciw stósowności (opportunitas) ogłoszenia dogmatu nauki o nieomylności Papieży, wcale nie na rękę przyszło wystąpienie jego, bo *sprowadza konieczność orzeczenia, któréj dotąd nie było.* Kończy swe pisanie: „Jestem z Döllingierem, którego prelekcye napełniały niegdyś uczniów miłością i zapałem dla Kościoła i św. Stolicy; nic nie mam spólnego z Döllingerem, którego nieprzyjaciele kościoła św. i Stolicy apostolskiéj obsypują pochwałami“. Ks. Melchers arcyb. koloński również stanowczo przeciwny Döllingera aktowi wystąpił. Z *Wrocławia* pomiędzy tymi, co podpisali adres do Döllingera, wyliczają jednego Polaka: dwóch tam tylko jest docentów polaków; któryżby z nich dostał się jak Piłat w *Credo* niemieckie? W Monasterze prof. Berlage nie podpisał adresu, ale ustnie oświadczył swym słuchaczom, że jest

przeciwny orzeczeniu dogmatycznemu z przyczyn w samejże istocie nie leżących. Podpisali nawet taki *Vosen* i *Dieringer*. Niechże się teraz nie dziwią biskupom niemieckim, że choć mówią przeciw stósowności (opportunitas) orzeczenia dogmatycznego, widocznie lękają się schizmy u siebie. Biskup warmiński, Dr. Krementz, który stanowczym się okazał bardzo w tępieniu wielu nadużyć, jak np. rytuałów niemieckich, nie mniéj stanowczo wystąpił teraz przeciw znanemu, uczonemu, ale aż do szału przeciwnemu nieomylności papiezkiéj *Dr. Michelisowi*, zakazując mu pod exkomuniką pisać co bądź o Soborze.

Trudno nie wspomnieć z politowaniem nad zarzutem liberalnych katolików, że przeciw orzeczeniu nieomylności papiezkiéj są najwięcéj cywilizowane narody. Z politowaniem, bo czyżto od cywilizacyi światowéj i świeckiéj zapożyczać ma się Kościół, religia i z niéj brać światło, prawdę? Czyż nie na odwrot po wszystkie wieki, „trwa Chrystus pełen łaski i prawdy.“ Chrystus światło świata, więc i światło oświaty, cywilizacyi? Argument, że najwięcéj cywilizowane narody są przeciw orzeczeniu nieomylności papiezkiéj, która przecież jest w depozycie wiary, w tradycyi kościoła, obrócić by można przeciw tym, co go przywodzą: że widocznie wiele złego, anti-chrześciańskiego w téj cywilizacyi, jeżeliż nią najwięcéj napojone narody, najwięcéj są przeciwne orzeczeniu dogmatycznemu tradycyi kościelnéj. —

Agitacya przeciw nieomylności papiezkiéj i na polu politycznym, choć tyle razy spełzła mimo wysiłków ministeryum bawarskiego, Hohenlohego i ministeryum włoskiego, nie ustaje. *Agiencya Havas*, niezawodnie fałszywą puściła pogłoskę, że *Times* miał donosić, iż *Napoleon* radził Papieżowi wrócić do liberalnych zasad z r. 46. (sic!) Niezawodnie fałszywą: bo Napoleon, dziś monarcha konstytucyjny, niemógłby samodzielnie czegoś podobnego rozpoczynać. Ale zdaje się, że liberalni katolicy będą chcieli *hr. Daru* użyć za taran i starać się będą popychać ministerstwo do kroków przeciwnych wolności Soboru. Hr. *Daru* wedle *l'Union de l'Ouest*, nie do posła francuzkiego Bannevilla, lecz do swego przyjaciela Wernera de Merode, brata arcybiskupa *Merodego*, już miał pisać w téj myśli, że pewne dekreta Soboru mogłyby do tyla zaniepokoić opinią, żeby ministerstwo uczuło się przyciśnięte nią do odwołania załogi z *Civita-vecchii*. List ten obiegał Rzym i alarmował; ale ostatecznie nie w Napoleonie, nie w Ollivierze ufność Rzymu, ale w Bogu.

Zdawaćby się mogło, że biskupi przeciwni orzeczeniu nieomylności, przynajmniéj w obecnych czasach, chcieliby odroczyć na teraz dyskusyą nad nią; że dla tego strasznie długimi mowami przeciągali rozbiór każdéj materyi. Ojciec św. chciał pozostawić Ojcom Soboru *wolność aż do przesytu*, jak sam raz wyrzekł. Otóż już dziś ten przesyt nastał. Chcąc przyspieszyć obrady i dekreta, wielu Ojców wnosiło o zmodyfikowanie regulaminu Soborowego, żeby dyskusyom nieskończonym granicę położyć.

Dokument ten mam przed sobą, a że nie istnieje powód do zachowania go w tajemnicy, w krótkości o treści jego wspomnę. *Schemata*, opracowania wniosków na Soborze roztrząsanych rozdawane są biskupom. Otóż teraz pewien czas ma być oznaczony, w którym biskupi, którzy zechcą uwagi swe nad *schematem* jakim poczynić, poczynić je będą musieli. Podpisane własnoręcznie przez biskupów uwagi nad schematem poczynione, oddane będą sekretarzowi Soboru, a przez tego przekazane odpowiednim Deputacyom biskupów. Tu stósownie do uwag, zmienione schemata powtórnie wręczone będą biskupom. Którzy biskupi chcą przemawiać, mają oświadczyć się, czy przeciw całemu schematowi, czy jakiéj części jego, i któréj chcą mówić. Na zarzuty mówców, za pozwoleniem prezydującego wolno będzie biskupom z Deputacyi natychmiast odpowiadać. Prezydujący może mówcę zbaczającego od rzeczy, przywołać do porządku. Jeżeli rzecz dostatecznie już będzie wyświecona, może prezydujący na wniosek piśmienny 10 Ojców Soboru, zapytać Sobór, czy chce jeszcze dłużéj rzecz roztrząsać. Co do pojedyńczych punktów schematu, głosowanie odbywać się ma przez powstanie; co do całości schematów ustnie przez oddanie głosu: placet lub non placet; a ktoby pod warunkim jakim chciał głos swój oddać, piśmiennie głos swój oddać powinien.

Niedyskrecyi, wydającéj tajemnice Soborowe chcąc zagrodzić, kazano teologowi kardynała Hohenlohego wyjechać, a teologowi biskupa Strossmayera dano upomnienie.

Ojciec św. przyjmował nie dawno na osobnéj audyencyi, znanego Urquharta; przyjęcie to było pełne względów i tak łaskawe, że cały rozpromieniony radością wyszedł, „adwokat Papieża u biskupów wschodnich“, jak go zowią. Biskupi wschodni widząc się oplątanymi zewsząd siecią schizmatyckiéj Moskwy i nie widząc nigdzie dla siebie ratunku, są najgorliwszemi zwolennikami myśli Urquharta, żeby Papież znów rozstrzygał spory międzynarodowe i stanął i w politycznym względzie na czele społeczeństwa chrześciańskiego. Schizma moskiewska zyskuje sobie coraz nowych szermierzy Osławiony *Overbeck* z księdza katolickiego prediger protestancki, podał Brunnow'owi posłowi rosyjskiemu w Londynie myśl ożenienia schizmy z herezyą. Śliczne stadło, dobrane; nieszczęsnemu Overbeckowi zdaje się, że niema pomiędzy nimi różnic stanowczych, istotnych. Ciekawość, jak go przyjmie patryarcha carogrodzki, do którego się z misyą wybiera.

We włoskiem, jedném królestwie w nową fazę rzeczy wstępują. Stósunki wewnętrzne tak złe, że o ich naprawie nie ma co myśleć, finanse tak nędzne, że za 400 milionów pożyczki 700 wrócić mają. Żeby tedy odwrócić uwagę od opłakanego stanu wewnętrznego, rozpoczyna ministerstwo wojnę na zewnątrz, oczywiście papierową. Po mowie Olliviera o załodze francuzkiéj w Rzymie, wysłano *Guerrieri-Gonzagę* do Paryża; gdy nic nie sprawił, rozpoczęto przez noty dyplomatyczne wojnę z gabinetem francuzkim. Sama wojna z Francyą jeszcze by niedostatecznie podtrzymała ministeryum w opinii rewolucyjnych partyi. Rozpoczęto przeto równocześnie wojnę z Kościołem. Zwalono ciężar płacenia długu papiezkiego; nadto minister oświecenia zaprowadza prawa obowiązkowego nauczania z wykluczeniem nauki religii, nawet katechizmu. Niektóre gminy miejskie jak *Bolonia*, *Folti*, *Cesena*, już uprzedziły życzenie światłego ministra. Za to w państwie, w którém hasło: wolny Kościół w wolnym

państwie, zamykają każdą szkołę przez katolików założoną; jak świeżo w Neapolu kolegium przez kanonika jednego otworzone, a do którego od razu 200 uczni się zgłosiło.

Karnawał rozpoczął się jak zwykle, przejazdem prałatów, urzędników Roty i Senatu rzymskiego. Rzymianie, że to był dzień Sobotni, poświęcony Maryi, czynnego udziału nie brali. Na zakończenie karnawału w każdym dniu odbywają się wyścigi koni bez jeźdźców, pędzących jak strzała wzdłuż całego *Corso;* przyprawione blaszki, pióra jak ongi skrzydła huzarów polskich, czynią szelest dziwny jakby lotu ptaka; skry sypiące się z pod kopyt, znaczą drogę rączo biegnących rumaków. Masek jak w inne lata, nie wolno przybierać i teraz, tylko siatki używane na ochronę twarzy od pocisków drobnych, ale dokuczliwych, bo złożonych z puzzolany wraz z gipsem.

Nie bardzo służy pogoda używającym karnawału. Kiedy jedni bawią się aż do szału, drudzy wezwaniu kardynała wikarego powolni, za siebie i za innych oddają się pobożnym i pokutnym ćwiczeniom.

W tych dniach nawiedził Ojciec św. jeden z kościołów, *Caravita,* gdzie osobno mężczyzni, osobno niewiasty, biczują się w osobnych dniach dwakroć w tygodniu. Jeszcze się zachowało, krzyknie może ktoś, barbarzyństwo to średniowieczne i znęcanie się nad samym sobą. Nie dziwić by się takiemu wykrzykowi w naszym wieku, w którym pieszczota ciała zabija ducha. Ale rzekome to barbarzyństwo nad sobą samym, jeźli nie podjęte z własnego uwidzenia, lecz z natchnienia bożego, lecz za wiedzą kierownika duszy, jest najszlachetniejszym aktem ofiarnym w obec Boga. Od tłustego Czwartku począwszy, wybierają się pobożne gromadki na pobożne pielgrzymki do siedmiu bazylik które po największéj części leżą poza murami miasta, tak iż dzień nieomal cały spędzi się na ich zwiedzaniu. W czasie pielgrzymki rozmyślanie męki pańskiéj, — odmawianie różańca za dusze zmarłych, za tego, który z grona gromadki pierwszy umrze, koronki o Męce pańskiéj, śpiewanie hymnów, litanii, pieśni, jak słynna św. Filipa Nereusza, rozważająca marność świata tego, i kończąca się wykrzykiem *Alla morte che sara? Ogni corsa è vanita.* „*W godzinę śmierci cóż będzie? Wszystko marność jest-*“ Pobożną tę praktykę wprowadził św. Filip Nereusz, założyciel Oratoryanów, u nas XX. Filipinami zwanych. W katakombach bazyliki św. Sebastyana odebrał dar Ducha św. widzialnie; i wtedy to serce wezbrane miłością bożą i powiększone cudownie, złamało dwa żebra, żeby się pomieścić mogło w piersi. Na pamiątkę tego, śpiewa się na wstępie do téj bazyliki wzniosły hymn do Ducha św., „Przybądź Duchu Stworzycielu.“ *Veni Creator Spiritus.*

Z kollegium polskiego był wyjechał do Ameryki ks. Józef Dąbrowski rodem z Lublina, dla posługi duchownéj, w misyi polskiéj. Dotychczas rozmyślnie o nim nie wspomniałem; bo podobno w ukryciu chciał wyjazd ten zachować do czasu przed matką, żeby jéj zbytecznie nie zasmucać i nie trwożyć jéj serca matczynego myślą o przeprawie przez morze, burzliwe w tém czasie. Obecnie już stanął szczęśliwie na ziemi Nowego świata. List jego pełen radości, co łacno zrozumieć u młodego kapłana, pełnego gorliwości o zbawienie dusz. W Nowym Jorku pocieszną a przytém rzewną miał przygodę. Wylądowawszy, gdy zażądano za dorożkę kilka dolarów do klasztoru Redemptorystów, puścił się pieszo do odległego na kilka mil angielskich kościoła. Gdy się pytał o drogę, dwóch ofiarowało mu się za przewodników, jeden porządnie odziany, drugi obdartus; nie chciał żadnego. Mimo to dwaj ochotnicy poczubili się o zaszczyt przewodnika. Obdartus przemógł i zdyszony przybiegł ofiarować swe usługi. Przerażony, odrzuca stanowczo te usługi natrętne. Niezrażony przewodnik wybiega naprzód. Ksiądz postępuje za nim, ale nie dowierzając, pyta się ciągle ludzi, czy dobrze idzie. W krótkim czasie stanęli u celu. — Obdartus zbliża się i powiada, że poznał w nim księdza obcego i dla tego chciał mu tę przysługę wyświadczyć; a nie przyjmując nic, odbiega spiesznie. Na drugi dzień ujrzał go ksiądz u Stołu Pańskiego.

Polacy rozproszeni po kilka set rodzin, społem żyjący zwykle z Czechami, Illiryjczykami, w opłakanym znajdują się stanie: bez kościołów, bez księży, bez szkół; albo wynaradawiają się w szkołach angielskich i niemieckich. Księża z emigracyi, gdyby zechcieli tu obrać pole czynności świętéj, jakżeby się przysłużyli narodowi i Kościołowi razem! Dziś talenta, lata pełne siły na rozterkach nieświętych, na walkach niezbożnych ze swymi marnując, czego spodziewać się mogą, jak niesławnéj starości, ciężkiéj innym i sobie?

Niestety! dotychczasowi duchowni polscy, którzy się luźnie zjawiali od czasu do czasu, wpośród ludu polskiego Ameryki, więcéj szkody niż pożytku przynosili zwyczajnie, a już o szkołę nie dbał prawie żaden. Ztąd dzika nieumiejętność tego ludu.

Nie mogąc wyżyć bez Boga, nie mogąc dostać kapłanów swego języka, choć ze łzami, na kolanach proszą o nich biskupów swoich, albo dzieci swe wynaradawiają, żeby bez Boga żyć nie były zniewolone, albo się dają pociągnąć gęstym amerykańskim sektom religijnym. Ksiądz Dąbrowski, który poświęcił się dla tego biednego ludu, pojął i spełnia obowiązki swe i kapłański i polski w sposób najzaszczytniejszy.

Kollegium polskie może się radować i szczycić, że z swego łona wydało Apostoła dla własnych braci na dalekiéj ziemi *Nowego świata.*

(Z Miasta.) Zdaniem mojém, *Tygodnik* za nadto łagodnie obchodzi się z panem Kraszewskim i jego niby rzymskim korespondentem. Należało wręcz powiedzieć, że p. K. zajmuje już najwyraźniéj stanowisko protestanckie, kiedy ideałowi swemu religii, cnoty i patryotyzmu, przedstawionemu w osobie *Tatka* w najnowszéj swéj powieści, kładzie w usta te wyrazy: „Między Ewangelią a mną, nie przyznaję nikomu prawa stanąć i nakazać mi, bym ją rozumiał jak on.“ Możeż być dobitniejsze odrzucenie powagi kościoła? Cóż jest główną zasadą protestantyzmu, jeśli nie to, że każdy może sobie tłomaczyć słowo Boże jak mu się podoba? Więc ile rozumów, tyle zdań, żadnéj pewności, żadnéj jedności. Wszakże przywódzcy najszaleńszych systematów wywodzą je najczęściéj z ewangelii. Wszystko przekręcić można, wszystkiemu nadać jakie się

chce znaczenie. Jakiś tyran mawiał: Nie znajdziesz trzech takich wyrazów, z którychbym cię nie zdołał potępić. I Renan nic innego nie czyni, tylko nie przyznaje nikomu prawa stanąć między nim a Ewangelią, i dla tego też odmawia bóstwa Chrystusowi i całą Ewangelię podaje za zmyślenie.

Kierunek ten w panu Kraszewskim dla mnie był oddawna widocznym. Tylko jak wszystkich nieprzyjaciół Kościoła, tak i jego demaskuje okoliczność zebrania Soboru. Okoliczności zaś jak wiemy, nie czynią człowieka, ale jakim jest, okazują. Wytężył więc wszystkie swe siły przeciw Soborowi. Dziwnie też uderza pojawienie się *Tygodnia* wraz z otwarciem Soboru. Połączył się przeto znowu z dawnym swym korespondentem, którego był odprawił z *Gazety Codziennéj* za to, że nie chciał pisać przeciw władzy doczesnéj a odprawił z pogardą, zarzucając mu „udawanie świętości i wręcz mu powiadając, że zdań sobie przeciwnych nie może *opłacać*“. Ale od owego czasu korespondent ów zrobił salto mortale. Ciekawą byłoby rzeczą, gdyby teraz przedrukowano ową broszurę pana Kulczyckiego, w któréj zaręcza Papieżowi, że cały naród polski, gdyby mógł, pobiegłby co do jednego na obronę władzy doczesnéj, wyrzeka przeciw rewolucyonistom i niedowiarkom włoskim, — „Wyście (mówi) wydali Machiavella, my Sobieskiego, i gdyby istniała narodowość sprzeczna z wolnością, całością i niepodległością praw kościelnych, narodowość taka zasługiwałaby na wykreślenie,“ — a w końcu piorunuje na anarchię czy tłumów czy jednostek, zgoła na rewolucyę, i woła do Ojca Ś. „I my także z twojem prawem zginęlibyśmy niepowrotnie.“ Niestety, dziś już p. Kraszewski jeśli ogłasza listy swego korespondenta, to już nie opłaca zdań sobie przeciwnych, idzie z nim ręka w rękę i wszystkim jego osobistym nienawiściom daje bieg jak najswobodniejszy. A przecież wzgląd na własną sprawę nakazywałby nieco ostrożności z człowiekiem tak bujnéj wyobraźni. Ten, co mógł wymyślić układy Papieża z Wałujewem, wizytę Zmartwychwstańców u Wielkiego Księcia, pośrednictwo tychże, aby wyrobić córce cara pozwolenie u Papieża, zachowania religii schizmatyckiéj w razie, gdyby poszła zs króla bawarskiego, ten zaiste nie zasługuje na najlżejszą wiarę. Mimo tego, pan Kraszewski pozwala, mu znowu powtarzać ciągle, wbrew najdobitniejszym zaprzeczeniom, kolosalne kłamstwa o naszym Arcypasterzu. Szczególną zdają się pałać nienawiścią przeciw zacnemu dostojnikowi. Ta im zasłania oczy na najwidoczniejsze niepodobieństwa. Powinniby jednak mieć się na baczności, bo już oba w tym kierunku strasznie się sparzyli. Pan Kraszewski w przeszłym roku usiłował pobudzić nasze duchowieństwo do nieposłuszeństwa, tymczasem wycieczką swoją wzmógł w nim tylko uległość i miłość dla swego zwierzchnika. Nie mniéj zawstydzonym został pan Kulczycki. Wiadomo, że korespondent poznański *Kraju*, uwierzywszy wałęsającym się plotkom i oszczerstwom, sformułował sześć główwnych oskarżeń przeciw naszemu Arcypasterzowi. Te wszystkie *Czas* i *Tygodnik*, przytaczając urzędowe dokumenta, najzupełniéj odparli. Korespondent *Kraju* zamilkł, przyznając tym sposobem, że się ze szczętem pomylił. Ale tymczasem p. Kulczycki, pochwytując jedno z jego oskarżeń, że Arcybiskup kazał wymazać z litanii inwokacyę „*Królowo Korony Polskiéj*,“ wystósował najbezecniejszy jaki sobie można wystawić wiersz na, jak śmie zwać, *Prymasa Niewoli*. Bolejeż on dziś, gdy prawda wyszła na wierzch, nad swoją pomyłką? Owszem, zwyczajem wszystkich kłamców i potwarców, usiłuje zatrzeć jedno oszczerstwo jeszcze większem oszczerstwem i zwykłym swym trybem, rozpuściwszy najprzód bajkę przez siebie ukutą po dziennikach anti religijnych włoskich, w *Gazette du Midi* i *Pall Mall Gazette*, na mocy jednozgoonych niby twierdzeń tych pism, oskarża naszego Arcybiskupa, że za pośrednictwem Hr. Bismarka i królowéj wirtemberskiéj, stara się pogodzić Moskwę z Rzymem, poświęcając pierwszéj wszelkie znamie polskości w kościele naszym. Nie pomogły najwiarogodniejsze zaprzeczenia. X. Arcybiskup nigdy nie był u królowéj Wirtemberskiéj ani jéj nie zna, nigdy najmniejszego kroku w téj sprawie nie uczynił, i jeśli miałby ją kiedy podnieść, to jawnie przed Soborem oskarżając Moskwę o najokrutniejsze prześladowanie Katolików. Korespondent, któremu chodzi tylko o chwilowe wrażenie, już naprzód otwiera sobie furtkę do odwrotu. Donosi bowiem do *Kraju*, że Papież zapewne nie przyjmie proponowanéj ugody. Wiele z resztą jest prawdopodobieństwa w domyśle *Czasu*, że Moskwa widząc objawiającą się opozycyę na Soborze, rachując na wielu biskupów austryackich a mianowicie słowiańskich, słysząc na koniec, że parę naszych biskupów polskich, podpisało się na adresie opozycyi, i że nie chcą łącznie wystąpić z Arcybiskupem Gnieźnieńskim w obronie praw kościoła polskiego, chciałaby spróbować, czy tym dowodem niejedności między Polakami, nie zniewoli Papieża do ustępstw. „Jeżeli gabinet petersburgski (mówi tenże dziennik) robi jakie starania w tym duchu, to bardzo mu są na rękę pogłoski, przypisujące kapłanom polskim udział w tych staraniach, a kto wie, czy pogłoski te, nie są przez jego ajentów rozpowszechniane, aby między duchowieństwem wyższem i niższem, oraz wiernymi, rozsiewać nieufność i podejrzliwość.“ Ale jeśli wszystkie te prawdopodobne dowody i przypuszczenia nie wystarczają, jedna maluczka okoliczność dostateczną jest, aby cały ten gmach fałszu obalić. Okoliczność tę nie dość podnieśliście. Wasz rzymski korespondent doniósł, że dnia 11. lutego, w rocznicę śmierci Matki Makryny, ks. Arcypasterz miał w kościółku przy klasztorze, który ona założyła, mszę żałobną za jéj duszę. Tak uroczyście oddana cześć pamięci najkrwawszéj ofiary prześladowania religijnego w Polsce, byłaby zaiste najdziwniejszym sposobem do przypodobania się Moskwie i do poparcia z nią układów, kosztem narodowości kościoła Polskiego.

Może to pan Kraszewski nazwie fortelem i zdradą na dwie strony. Nauczył on się wielkiemi wyrazami patryotyzmu, miłości, poświęcenia, na okół za najmniejszą sposobnością terroryzować. „Obliczmy się przy téj zręczności (mówi on, przynaglając do składek na teatr w Poznaniu) kto z Polską jest a kto przeciw niéj.“ Dawno już powiedziano, że niema większych tyranów jak ci, co mają zawsze wolność i patryotyzm na ustach. Kto tylko nie schlebia im i ślepo nie poddaje się ich wyrokom, zaraz odsądzonym bywa przez

nich od wszystkiego, co stanowi godność człowieka i co mu jest najdroższem. „Stronnictwo to przestało być polskiem i rozbrat z nim jest konieczny!“ — nakazywał pan Kraszewski w zeszłym roku, gdy pewna część opinii publicznéj, odstrychnęła się od *Dziennika Poznańskiego* z powodu, iż ten zaczął także przybierać ton terrorystyczny i zbyt poddawać się kierunkowi, w który go popychał pan Kraszewski. Gdzież się to wszystko skończy? Głosicie zgubne teorye. Gdy na nie odpowiadamy, nagle urywacie poważną dyskusyę, chowacie się do waszych kryjówek, aby wystąpić z nimi pod inną formą, ubocznie, w powieściach, romansach tendencyjnych, w *Mętnéj Wodzie*. Kujecie co chwila nowe fałsze. Skoro je zbijamy, nie macie nawet szlachetności odwołać lub przyznać się do pomyłki. Najłagodniejsi z was zasłaniają się odpowiedzią: „Jeśli tak nie było, to tak być mogło, a obowiązkiem patryoty jest, nawet fałszywemi posądzeniami zapobiegać złemu.“ Wymagają nawet wdzięczności od spotwarzanych, a to z téj miary, że dali im sposobność uniewinnienia się, to jest ranili, aby skaleczony miał przyjemność wyleczenia się. I jeszcze raz zapytujemy się: dokąd to wszystko prowadzi? Czas już wielki, aby się zwłaszcza p. Kraszewski pomiarkował. Nieszczęśliwą ma rękę. Gdzie się tylko dotknął rany, nigdy jéj nie ukoił ale zawsze zajątrzył. Tak było w Żytomierzu, tak w Warszawie, w Krakowie, we Lwowie, tak w Poznaniu. U nas przeszłoroczny spór, byłby się daleko rychléj załagodził, gdyby nie owa szalona p. Kraszewskiego diatryba, w któréj część społeczeństwa naszego i to nie najmniéj szlachetną i poświęcającą się, odsądził od polskości i rozkazał drugiéj rozbrat z nią uczynić. Żalił się on późniéj, że u nas dyskusya zawsze przechodzi w łajanie. A któż to wznowił, kto tego dał pierwszy przykład po 1863 jeśli nie autor *Rachunków*, kto w braku argumentu groził p. Stanisławowi Tarnowskiemu kijem? Mieliśmy nadzieję, że porzuciwszy dawne gniewy p. K. od nowego w *Tygodniu* pocznie. Ale wszystko tam dotąd idzie po dawnemu jeśli nie gorzéj. W religii jakiś dziwny eklektyzm jeśli nie obojętność, w polityce ciągłe przeskoki z teroryzmu do czułostkowości, w teoryi miłość à la Tatko (Nr. 8) w praktyce gniew, groza, ostracyzm, — w literaturze nie jakość ale ilość, osobiste pociągi zamiast bezstronności. Co *Czas* i *Przegląd* drukuje, co Szujski i Siemieński pisze, to wszystko dla pana K. nudne i głupie (są jednak w ostatnich numerach umizgi do hetmańskiego potomka), ale co *Kraj* ogłosi to wszystko przewyborne. Powieść *Kosze i Koszyki* w *Przeglądzie*, jedyna, co nam dała odetchnąć po tym nawale tendencyjnych i politycznych romansów, które już każdego znudziły jednostajnym swym trybem, wywołała potępiający wyrok u mistrza. A jednak powinienby on dodawać zachęty młodym zdolnościom, zwłaszcza pojawiającym się w jego fachu. Zgoła jak *Rachunki* tak i *Tydzień* są tylko historyą osobistych sympatyi i antypatyi pana Kraszewskiego. Do naszych to nieszczęść należy, że ludzie, którzy się wysuną na przodownicze stanowisko, sami w końcu wszystko czynią, by się z niego zepchnąć, jedni brakiem godności i szyderstwem z samych siebie, jak Rzewuski, drudzy słabością charakteru i chwiejnością, inni stronniczą, dezorganizującą wszystko zapalczywością, inni jeszcze brakiem temperamentu. I jakże szanować powagi, które się same nie szanują? Sam p. Kr. gdzieś powiedział: Żurnalista musi z sobą przynieść na świat wielki dar: temperament, pisarze rosną i wyrabiają się, dziennikarze się rodzą. Otóż jeśli kto, to on tego daru niema. Z każdym numerem *Tygodnia* coraz bardziéj się o tém przekonywamy.

P. S. W téj chwili dochodzi mię Nr. 9 *Tygodnia*. Jak łatwo było przewidzieć, gniew i nienawiść, — widząc że nie sprawiają wrażenia, ale owszém coraz większą liczbę ludzi rozsądniejszych od siebie odstręczają, — ciskają się, wpadają w obłąkanie i wyskakują na sam szczyt szaleństwa. W korespondencie rzymskim *Tygodnia* dochodzi to już prawie do *delirium tremens*.

Lubo *Tygodnik* ma chwalebny a tak mało u nas praktykowany zwyczaj przytaczania in exstenso napaści przeciw sobie lub swym zasadom wymierzonych, okazując przez to, że się ich nie lęka, nie mogę tym razem żądać, abyście powtórzyli ten długi, przez trzy kolumny ciągnący się, petitem drukowany ustęp, w którym ten korespondent w napuszonych, w wydętych jak bańki mydlane frazesach, unosząc się na szumnym gruncie rozbujałych fluktów, miota się przeciw naszemu Arcypasterzowi. Oto treść jego ostatnich oskarżeń. Ultramontanizm, chcąc obalić nasz staropolski katolicyzm, patriotyzm i wiarę w przyszłość narodu, wywiesił firmę nieomylności papieskiéj. Aby tę firmę spolszczyć w oczach narodu wskrzeszono prymasostwo. Łatwo jednak pod purpurą prymasowską odgadnąć Bismarka i Cara. Ale conditio sine qua non planu, który miał przerobić na zawsze naród nasz w Prusaków i Moskali, zależała na jednomyślności Biskupów polskich zgromadzonych w Rzymie. Otóż Biskupi galicyjscy poznawszy blichtr, poczuwszy niebezpieczeństwo, odkrywszy zasadzkę, bo jak Księciu Józefowi Bóg im w téj chwili powierzył honor Polski, oderwali się stanowczo od Prymasa i podpisali postulatum przeciw dogmatycznemu orzeczeniu nieomylności papiezkiéj.

Mniejsza na ten raz o niegodziwość podobnych oszczerstw, w których nawet cienia prawdy niema, ale któż nie widzi, że tak najzupełniéj identyfikując kwestyę nieomylności papiezkiéj ze sprawą Kościoła polskiego i narodu, przygotowuje się najstraszniejszy cios temuż Kościołowi i narodowi? Dziś już zdaje się niewątpliwém, że kwestya nieomylności papiezkiéj będzie wprowadzoną i przeprowadzoną. Wedle wyrachowań samegoż korespondenta $^5/_6$ Biskupów jest za nią a tylko $^1/_6$ przeciw niéj. Zaczém, skoro się Sobór za nią oświadczy, a wtedy i ks. Dupanloup i ks. Strossmayer niezawodnie się jego wyrokom poddadzą, cóż się stanie? Oto według tego jak teraz tę kwestyę *Tydzień* stawia, uznanie przez Sobór nieomylności papiezkiéj, będzie niechybnie zarazem oświadczeniem się przeciw Kościołowi polskiemu i narodowi. Jakież to zwycięstwo dla Moskwy! Nie stajeż się więc coraz prawdopodobniejszém to co twierdził *Czas*, że zabiegi Moskwy, usiłującéj skorzystać z opozycyi objawiającéj się na Soborze i Papieża do ustępstw zmusić, skojarzyły się tu z oszczerczemi zmyśleniami naszych własnych rodaków. Nie wchodząc bynajmniéj w samo meritum téj kwestyi, godzi się téż zapytać z punktu wyłącznie

politycznego, co będzie na rękę Moskwie czy wyrzeczenie nieomylności, czy jéj zaprzeczenie lub odroczenie? To powinnoby być wskazówką właśnie dla tych naszych polityków, którzy religię tylko za narzędzie polityki uważają. Ale u nich dobro narodu ustępuje zawsze przed jakiemś kosmopolitycznem uniesieniem dla idealnéj ludzkości.

Wszystkie jednak szumne i łokciowe okresy korespondenta Brzuchomówcy kończą się zwykle maluczkiem post-scriptum, w którém bezpośredniego celu w każdym jego liście szukać należy. Otóż i teraz widocznie mu chodzi o to, aby od naszego Arcypasterza odciągnąć ks. Sosnowskiego i ks. Ludwika Wolańskiego. Pocieszne to niezmiernie.

Z krasomowczych swych wyżyn korespondent zstępuje nawet do najdrobniejszych zaczepek, byle tylko swym przeciwnikom dokuczyć. Przytacza naprzykład znane wiersze na cześć mowy polskiéj ułożone, i rozwodzi się nad jéj strojnością, aby wytknąć jednemu z korespondentów katolickich jakiś frazes, doskonale dla wszystkich zrozumiały, lecz w którym składnia nie dość ściśle zachowaną została. Aleć błędy takie przydarzają się i najlepszym pisarzom, cóż dopiero mówić o korespondentach, którym pospiech powinien służyć za wymówkę. Nasz krytyk pewnie dobrze smaży głowę i gryzie pióro przez cały tydzień nim list swój wyśle do Drezna, a przecież i w jego sążnistych a wyostrzonych aż do trzonka diatrybach, znalazłoby się niejedno wykroczenie przeciw składni i językowi, już nic nie mówiąc o ciemności i zagmatwaniu w nastrzępionych deklamacyą okresach. Na przykład i w tym ostatnim liście powiada, że znaleźli się u nas alchemicy przedsiebiorący na koszt polski czy moskiewski rozkład polskiego ducha. Chciał zapewne powiedzieć: na korzyść pruską czy moskiewską, — bo *na koszt* znaczy raczéj na niekorzyść.

Całą tę dziecinną sprzeczkę o poprawność języka korespondent wyraźnie wytacza tylko dla tego, aby znaleść sposobność przyczepienia łatki ks.ks. Zmartwychwstańcom. Nie dziw, że ks. Kajsiewicz, ks. Semenenko, ks. Kalinka nie umieją pisać po polsku, wszak u niego wszyscy opozycyjni Biskupi są mistrzami wymowy, wszyscy inni tylko sen swemi głosami na przytomnych sprowadzają. Otóż korespondent czyni odpowiedzialnymi ks.ks. Zmartwychwstańców za ten jedyny, jaki mu się znaleść udało, frazes mniéj poprawny w korespondencyach katolickich. „Całe niemal dziennikarstwo polskie (mówi on) dziś w rękach Zmartwychwstańców zostaje.“ Słuchajcie, *Gazeto Narodowa, Dzienniku Lwowski, Dzienniku Polski, Kraju* i wszystkie gazety warszawskie, nad jaką to przepaścią bezwiednie stoicie. Słuchajcie, *Dzienniku Poznański* i *Gazeto Toruńska,* w jaką to wpadliście zasadzkę dla tego tylko, żeście zamierzyli bezstronnie dzieje soborowe przedstawiać.

Że *Czas, Unia* i *Tygodnik* mają takie z Rzymu korespondencye, jakie ich wyobrażeniom odpowiadają, to tylko może dziwić p. Kraszewskiego, który główny z tego zarzut *Czasowi* już raz uczynił, nie pomnąc, że sam wybrał sobie wyłącznie po swojéj myśli korespondenta, i że wywiesił zasadę, iż nie należy *zdań sobie przeciwnych opłacać.* Z jednéj tylko strony mógłby kto przypuścić, że nawet i *Tydzień* wpadł w ręce Zmartwychwstańców, gdyż takie obelgi i potwarze, jakie przeciw nim umieszcza, nie na ich szkodę, ale ostatecznie na ich chlubę obrócić się muszą.

W końcu korespondent jeszcze jednéj niecnéj dozwala sobie w tym ostatnim liście insynuacyi. Pisze on: „Jeden z członków Soboru, który chciał zaprotestować przeciw gwałtom moskiewskim w Polsce, został odwróconym od tego zamiaru przez Mons. C. z obawy, aby taki protest nie przeszkodził układom z Moskwą, — jeśli zaś te pomyślny otrzymają skutek, Mons. C. ma się spodziewać purpury kardynalskiéj.“ Jakżeż to zgadza się z nieco powyżéj umieszczoném twierdzeniem korespondenta, że Mons. Czacki stracił już wszelki kredyt w Watykanie? Zaiste, złość zaślepia całkowicie. Śmiało prosimy o nazwisko owego członka Soboru. Czysty to wymysł, bełkotanie idiotyzmu. Ale ponieważ p. Kraszewski, przeciw któremu wiele żalu mamy, ale którego niejednéj dawnéj zasługi nie zapoznajemy, a zatém na równi z jego korespondentem rzymskim nie kładziemy, zamieszcza takie bezecne insynuacye, wzywamy go, aby je usprawiedliwił przytoczeniem nazwiska. Jeśli tego nie uczyni, każdy uczciwy człowiek będzie musiał przyznać, że *Tydzień* stał się jeszcze większym stekiem kłamstw i potwarzy, niż *Dziennik Warszawski.*

Rzut oka na nasze zasady, sprawy i potrzeby.

Skreślił

Maksymilian Jackowski.

Poznań 1870. Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego

(Dokończenie.)

Żeby nie mnożyć i tak już licznych przytoczeń wspomnimy jeszcze na ostatku co p. Jackowski o teatrze narodowym sądzi. Otóż jest on przeciwny założeniu stałego teatru w Poznaniu i podaje na uzasadnienie zdania swego kilka powodów. W końcu powiada:

„Projekt budowania teatru narodowego podnoszony przez pisma do apoteozy, przygłusza w umyśle społeczeństwa myśl, która je głównie zajmować powinna, że praca, praca i praca jedynem jest naszém zbawieniem.“

Rzeczywiście w ostatnich czasach z niezwykłą gorączką pochwycono myśl założenia teatru, dzienniki bez ustanku rozwodziły się nad tym projektem, w teatrze upatrywano niemal kotwicę zbawienia, co gorsza-śpiewano hymny na cześć nowych kapłanów i kapłanek, teatr stawiano na równéj linii z kościołem, słowem teatr wynoszono do godności rzeczy świętéj, do apoteozy. Był to zapał bez wszelkiego hamulca, szał, *febris theatralis*, nie oglądający się na wyższe względy. Ktokolwiek choć zdaleka odważył się napomknąć o faktycznéj wartości przedstawień teatralnych, tego okrzyczano publicznie jako człowieka pozbawionego zdrowych zmysłów, bez mała za zdrajcę. Tak u nas się dzieje.... Zapalamy się niezmiernie łatwo ku rzeczom, które schlebiają namiętnościom naszym jakimbądź, za

czém przychodzi zaślepienie, które na wszystko inne oczy zamyka, a na głos tego, coby chciał przywieść do upamiętania, co trzeźwo się odzywa, głuchymi czyni.

Przeciwko teatrowi jako teatrowi nie mamy nic do nadmienienia — pojmujemy, że z teatru może być niepośledni pożytek — nie mamy nic i przeciw projektowi wybodowania stałego teatru w Poznaniu — wszelako godzi nam się zauważyć, że takie namiętne a jednostronne traktowanie téj sprawy, z pomiataniem wszelkich uwag zdrowych ze strony tych, co mniéj się entuzyazmują, musi wywoływać uprzedzenia, a także i niechęci. A daléj jeszcze. Cóż powiedzieć np. na to, gdy ktoś w *Dzienniku poznańskim* na naczelném miejscu tego pisma występuje z tak potwornymi projektami, ażeby na wybudowanie teatru obrócić nawet żelazne fundusze rozmaitych towarzystw, i gdy rzecz ta tak mu się ważną i tak naglącą wydaje, że nawet obłożyć robocizną, nowemi podatkami ludność naszą radzi? Ile tu przesady, ile niedojrzałości dziecinnéj, jakie nierozróżnianie rzeczy ważnych i naglących od mniéj ważnych, widzi od razu każdy człowiek nieuprzedzony. Na szczęście, że przecież choć jedna *Gazeta toruńska* zaprotestowala przeciw podobnym lekkomyślnościom. *Dziennik* sądził, jak zwykle, że coś wielce praktycznego i mądrego podał swym czytelnikom. Gdy się to wszystko rozważy — trudno się prawie powstrzymać, żeby nie napisać satyry.

My mamy jeszcze inne względy na oku.

Zdanie nasze o teatrze wyłuszczyliśmy dość obszernie zeszłego roku z powodu przedstawień teatru krakowskiego, gdy bawił w Poznaniu; dodajemy teraz następną uwagę, na którą trudno żeby się nie zgodził każdy, co się nie po młodzieńczemu na rzeczy zapatruje.

Otóż zapytajmy się: jak się teatr faktycznie przedstawia? Czyż odważy się kto powiedzieć, że teatr w czasach naszych jest szkołą moralności, że podnosi ducha w sfery wyższe i czystsze, w sfery ideałów — że uszlachetnia człowieka, rozbudza w nim uczucia święte, do myśli uczciwych i do przedsiewzięć szlachetnych pobudza? Czyż nie dzieje się owszem całkiem przeciwnie? Jakież sztuki widzimy przedstawiane na deskach teatralnych przez ludzi, których dziennikarstwo z taką emfazą, z taką lubością, która w nas przynajmniéj ckliwość i obrzydzenie rodzi, kapłanami i kapłankami nazywa? Widzimy owoż najpoziomsze utwory bez wszelkiéj wartości nawet pod względem literackim. Pod względem zaś tendencyi moralnéj, urągają częstokroć wszelkim prawom i przepisom etyki chrześciańskiéj, przedrzeźniają rzeczy święte, nie rzadko i wiarą samą pomiatają zuchwale, rzucając sprośnie pod nogi na znak, iż w nowéj świątyni obyć się można wygodnie i bez zasad wiary i bez hamulca moralności. Jeszcze raz: nie potępiamy bezwzględnie teatru, ale trudno powstrzymać się od uwagi, że jak dziś się rzeczy przedstawiają, teatr jest jednym ze sposobów i rodzajów kultu ciała i zmysłowości, tak właściwego naszéj epoce. Co więcéj, choćbyśmy wzgląd ten usunęli na bok, a jest on przecież najwyższego rzędu, to nawet i tak nie moglibyśmy przyzwolić i tym nawet co teatrowi wielki wpływ przypisują na dodnoszenie narodowego ducha. Tu niechaj odezwie się za nami p. Jackowski:

Wiemy że społeczeństwo wierzy ślepo w to, co mu jego przewodnicy podają, a wierzy w to tém skwapliwéj, jeżeli to nie natęża sił jego, jeżeli to folguje jego temperamentowi i przyjmuje bez namysłu, jeżeli to ma być jeszcze dźwignią ducha narodowego. Podniesienie ducha narodowego, jest to myśl wzniosła, patryotyczna, nie przez teatr atoli ona się przeprowadza: teatr w najpomyślniejszym razie, budzi gorączkowe uniesienie, wywołuje entuzyazm który się pali szybko jak fajerwerk, i kończy grzmotem oklasków, są to porywy chwilowe, za poziome dla ducha narodowego. Jakim pierwiastkiem uczucie jakie żyje, takim też tylko podsycane być może. Duch narodowy nie z desek teatralnych wziął swój żywot, ale duch ten ma Boski początek. Ojczyzna jego po za granicami ziemskiego świata, z świętych prawd przedwiecznych bierze on swe tchnienie i niemi krzepi swe życie, spuszcza się na padół ziemski i zamieszkuje w tych tylko duszach, które tych prawd są przybytkiem. Zajrzyjmy do historyi a ta nas nauczy, że teatr nie utrzyma ducha narodowego w żadnym narodzie, jeżeli tenże zerwał z cnotami i łączył się z żądzami, które zatruwały i przytłumiały ducha narodowego. Przyznaję, że w pewnych chwilach życia narodu, n. p. przed wojennymi wypadkami, teatr może zentuzyazmować ducha jeżeli tenże jest w narodzie, ale jeżeli go nie masz, to i wtenczas go nie obudzi: nam przecież nie o zentuzyazmowanie ducha ale o nadanie mu siły i energii chodzić powinno, a tych przymiotów teatr w nas nie wydoskonali. Teatr ma inne zalety, te jednakże nie są tego znaczenia, ażeby dla ich uwzględnienia stawiać teatr na czele i poświęcać kwestye żywotne. Wszędzie gdzie tylko budowa społeczna systematycznie była przeprowadzoną, tam teatr zamykał szereg instytutów oświaty, a jak daleko nam do ukończenia téj budowy, z przedstawionego obrazu mogliśmy się przekonać. Ducha narodowego podnosi przedewszystkiém miłość i poświęcenie.

Broszura p. J. godną jest ze wszech miar uważnego czytania.

Oświadczenie ks. Biskupa Kettelera.

W lutowym poszycie uczonego pisma, wychodzącego w Moguncyi pod tyt.: *Der Katholik*, Biskup Ketteler złożył oświadczenie swoje naprzeciw ks. Doellingerowi z powodu wystąpienia jego w sprawie nieomylności Papieża. Pismo to datowane z Rzymu niezwykłego jest w obecnéj chwili znaczenia, i dla tego podajemy je w tłomaczeniu jak następuje:

„Ks. Opat Döllinger w piśmie swoim zamieszczonym w *Allg. Ztg.* z dnia 27. Stycznia powiedział był: „Ogłosiłem ten mój artykuł, ponieważ uważałem się do tego powołanym jako publiczny nauczyciel i jako senior profesorów teologii w Niemczech, w czasie tak naprężonym i w położeniu wzniecającém istotne obawy. Uczyniłem krok ten w pełném otuchy przeświadczeniu, iż z ogromną większością niemieckich Biskupów, do których i mój czcigodny najwyższy Zwierzchnik należy, zgadzamy się co do istoty kwestyi, a także i z potrzeby, ażeby to, co mi niegdyś jako naukę Kościoła podano, czegom sam przez lat czterdzieści siedm uczył, teraz ku schyłkowi życia mojego w chwili groźnego zaciemnienia lub przekręcenia wyznać jawnie i publicznie.“ — Ks. Döllinger wyraża równocześnie nadzieję, że słowo jego „zanim kości rzucone, może przecie znajdzie jakiekolwiek uznanie.

Ks. Opat nie powiada wyraźniéj, co przez „istotę kwestyi“ rozumie, w czém ma się zgadzać z większością niemieckich Biskupów. Nie podaje także, których Biskupów zalicza do owéj większości, a których nie. Oczywiście, że z przyczyny téj niejasności słowa jego, jakoby między nim a większością niemieckich Biskupów panowała zgoda co do istoty kwestyi, mogą i muszą uledz rozmaitemu rozumieniu. Co do mnie, jasną jest rzeczą, że tylko w moim własném imieniu występuję. Ponieważ tedy nie zaliczono mnie do wyjątków, mogłoby się zdawać, iż podzielam całkiem zdania ks. Döllingera, które w ostatnich czasach wygłaszał. Otóż, by nikomu nie dać nawet cienia pozoru do podobnego sądu, następujące czynię oświadczenie.

Był czas, kiedym jako uczeń ks. opata Döllingera, poczuwał się do wdzięczności ku niemu i rzetelnie go poważał. Przez kilka bowiem lat słuchałem wykładów jego w Monachium. Wtedy to zgadzałem się z nim we wszystkich wielkich kwestyach z historyi kościelnéj. Póżniéj w r. 1848 byliśmy razem jako deputowani w niemieckim parlamencie we Frankfucie. Zdaje mi się, że i wtenczas, gdy o wszystkich wielkich sprawach tyle rozprawiano, panowała między mną a nim zgoda. Obecnie muszę wyznać z żalem, że co do istoty kwestyi, które nas w tych czasach zajmują, wielka się różnica znachodzi między mojem zdaniem a zdaniem ks. Döllingera.

Opinia publiczna uważa ks. Döllingera jako zwolennika, co do przekonań, autorów *Janusa*, książki pełnéj obelg na Kościół, a mimo to, nie widział on dotąd potrzeby oświadczyć, iż jako wierny syn Kościoła katolickiego, nie dzieli bynajmniéj tego ducha, jakiego owocem jest Janus. Janus powstaje nietylko przeciw nieomylności papieża, lecz przeciw prymatowi samemu, przeciw téj wielkiéj boskiéj instytucyi w Kościele, któréj głównie zwycięztwo nad wszystkimi wrogami po wszystkie wieki zawdzięczamy. Książka ta, daléj, jest tkaniną z niezliczonych przekręceń faktów historycznych; książce téj co do faktów chyba tylko *Lettres provinciales* Pascala wyrównać zdołają. Ks. Döllinger tymczasem nie tylko że nie zaprzeczył, iż z autorami Janusa w żadnym związku nie stoi, lecz nadto wydał on jak wiadomo pismo: *Erwägungen für die Bischöfe des Conciliums über die Frage der päpstlichen Unfehlbarkeit,* pismo, które aczkolwiek daleko umiarkowańsze niż Janus, co do toku myśli przecież w ogóle tak dalece się z nim zgadza, iż podejrzenie, jakoby Döllinger z autorami Janusa był w styczności a przynajmniéj kierunek ich pochwalał, staje się prawdopodobieństwem.

„W tym samym kierunku wypowiedział ks. Doell. co dopiero zdanie o postulacie pewnéj liczby Biskupów, domagającym się ogłoszenia nieomylności Papieża! Słowa jego nie są wyraźne, a mianowicie gdy bezzasadnie wyraża się o Soborze florenckim, który przecież w Kościele katolickim za powszechny jest uważany, a także gdy również bez podstawy wszelkiéj utrzymuje, iż nieomylność Papieża wydającego uroczyście dekreta w rzeczach wiary, nie może być ogłoszoną. Tu przecież nikomu z katolików nie przysługuje żadne a żadne prawo rozstrzygania; w tych rzeczach samo tylko Koncylium powszechne, któremu dana jest obietnica, iż Duch św. przypomni mu wszystko, czegokolwiek Syn Boży był nauczał, może wyrok nieomylny ogłosić.

Niemniéj i one słowa ks. Doellingera, gdzie uroczyste w danym razie ogłoszenie nauki, na którą się on nie pisze „straszliwém zaciemnieniem i przekręceniem“ kościelnéj nauki nazywa, pełne są tego ducha, o jakim powyżéj wspomniałem. O „groźném zaciemnieniu i przekręceniu nauki kościelnéj“ przez wyrok Soboru powszechnego nie może mówić ten, co wierzy, iż Duch prawdy znajduje się nadprzyrodzonym sposobem wpośród tego zgromadzenia. Wolno zapewne ks. Opatowi, zanim wyrok nastąpi, mieć jakiebadź wątpliwości co do nauki, któréj jeszcze nie ustalono; wszelako jako katolikowi nie godzi mu się głosić o groźném zaciemnieniu i przekręceniu prawdziwéj nauki przez Sobór powszechny.

Był czas, gdy znaczna liczba młodzieży ze wszystkich zakątków Niemiec, pełnéj ducha i gorliwości, poświęcającéj się stanowi kapłańskiemu, do uczniów ks. Doellingera należała. Młodzieńcy owi, dziś w wieku dojrzałym, najwierniejszemi są synami Kościoła, tak że ich przeciwnicy zowią uczniami Jezuickimi. Owym to bez wątpienia czasom ma do zawdzięczenia ks. Doell., że i teraz niejeden z nich z największym tylko wstrętem przytłumia w sobie wszelkie uczucie wdzięczności i szacunku, aby się odstrychnąć od dawniejszego nauczyciela. Zaś z drugiéj strony dziś apostaci nawet, jak taki Pichler i inni, śmią się jawnie uczniami Doellingera nazywać i zarzucają nauczycielowi swemu niekonsekwencyą, iż nie ma odwagi, aby pójść daléj i nietylko Papieża, lecz i Kościoła samego nieomylność odrzucić. Możnaby się zapytać, zkądże to pochodzi, że ze szkoły Doell. tak różnorodnych kierunków wyszli ludzie? Nie trudno to pojąć. Nieszczęśliwy kierunek, jaki obecnie ks. Doell. obrał, nie jest już kierunkiem owego męża, na którego tylu uczni i z lat dawnych i dzisiaj jeszcze z wdzięcznością, lecz i z bólem niemałym spogląda.

„Kończąc, oświadczam, że o ileby ze słów Doell. padało na mnie podejrzenie, jakobym się z nim „co do istoty“ kwestyi poruszanych w obecnéj chwili, zgadzał zupełnie, — podejrzenie to z wszelką stanowczością odpieram od siebie. Zgadzam się z Doellingerem, ale z tym, który niegdyś w uczniach przez wykłady swoje miłość i gorące przywiązanie do Kościoła i do Stolicy apostolskiéj wzbudzał; zaś z tym Doellingerem, którego dziś nieprzyjaciele Kościoła zaszczytami opsypują, — nie mam nic wspólnego.“

Przemowa Ojca św. na otwarcie Wystawy w Rzymie.

W ciepły wiosenny miły bardzo dzień (17go b. m. we czwartek) Ojciec św. otworzył uroczyście wystawę kościelnych przedmiotów, urządzoną w termach Dyoklecyana we wspaniałym klasztorze Kartuzów przy kościele Santa Maria dei Angeli. Ulice, któremi Papież do Watykanu przejeżdżał, były przepełnione ludem. Okrzyki gorące podnosiły się wszędzie za zbliżeniem się powozu papiezkiego.

W lokalu wystawy oczekiwało Ojca św. wielu kardynałów, przeszło czterysta biskupów, mnóstwo prałatów, księży i kilka tysięcy świeckich osób.

O 11éj wysiadł Pius IX. z powozu u wrót kla-

sztoru. Twarz miał wesołą i młodziéj niż zwykle wyglądał. Przyjęty przez kardynała Berardi i komisyą wystawy udał się do sali głównéj, gdzie zasiadł na tronie. Zaraz dała się słyszeć kantata kompozycyi maestra Rosati, więc gdy się potém uciszyło kardynał Berardi przemówił, ale mało kto słyszał mowę jego. Odpowiadając kardynałowi Papież zwrócił naprzód uwagę, że najpiękniejsze arcydzieła z natchnienia religijnego powstały. Tu wymienił obraz Komunii św. Hieronima, Dominika, statuę Mojżesza Michała Anioła i bazylikę św. Piotra. „Religia, były słowa Papieża, kierowała pędzlem, który nam przedstawił wielkiego doktora Kościoła, religia wiodła dłutem co myśl bozką jakoby wszczepiło w rysy prawodawcy ludu wybranego i religia, powiedzieć możemy, poruszała cyrklem kreślącym plan najwspanialszéj na świecie świątyni." Wyrazy jakie nastąpiły potém wymówił Pius IX. podniesionym głosem, z twarzą wielce ożywioną. „Religia ta jest niezmienna, jéj rewolucyą odmładzać nie potrzeba i odpycham precz, a potępiam zdanie tego, co napisał, że konieczny dla niéj rok 1789 *)."

Przerwały Papieżowi silne oklaski, które się długą chwilę uspokoić nie mogły.

„Ta idea, dodał Papież, pożyczona została od wielkiego demagoga włoskiego."

Daléj mówił Ojciec św.: „Rozporządzając, żeby wystawa została otwarta, miałem na względzie wzmocnienie jedności. A kiedy mówię o jedności, to nie o takiéj, któraby zniosła obrządki wschodnie. Widzę tu biskupów wschodnich. Niech będą spokojni. Ich obrządki za godne uczczenia, za święte uważam i pragnę ich zachowania."

Słowa powyższe odpowiadały na szerzone podstępnie pogłoski i zostały z widoczną radością przez wschodnich prałatów przyjęte.

Pius IX. tak skończył: „Sławię nieskończoną dobroć Pana Boga, iż oto dał mi możność pokazania, jaka jest potęga Kościoła, potęga niewzruszona, oparta *super firmam petram*. Wszystkim, którzy się przyłożyli do urządzenia téj pięknéj wystawy sztuki chrześciańskiéj dziękuję, dziękuję także artystom i przemysłowcom, którzy przyczyniają się przedmiotami wystawionemi do powiększenia wspaniałości przedsięwzięcia. Wszystkim błogosławię. *Benedictio Dei* etc.

Znowu podniosły się okrzyki. Pius IX. zszedł z tronu i zwiedził sale wystawy jedna po drugiéj. Wszędzie udzielał błogosławieństwa. Szczegółowo nie oglądał niczego i niebawem odjechał, a okrzyki ludu towarzyszyły mu aż do Watykanu.

— *Dziennik warszawski* z dnia 18. Lutego zamieszcza pod napisem *Tożsamość polaków i rosyan* następujący artykuł:

*) Alluzya tu do pierwszéj rewolucyi francuzkiéj i do zasad z roku 1789, na które powołują się zwykle dzisiejsi ludzie polityczni we Francyi. Niedorzeczne zdanie, że Kościół musi mieć swój rok 1789 przypisuje *Gazeta Augsburgska* panu de Falloux. Miał je umieścić w liście pochwalnym do O. Gratry napisanym. Pan de Falloux najmocniéj przeczy i oburza się na to, że mu taką odpowiedzialność nakładają.

Od dawna już niektórzy historycy i filologowie wypowiedzieli zdanie, że polacy należący obecnie do kościoła rzymsko-katolickiego i mówiący osobnem narzeczem, w starożytności wyznawali wspólnie z rosyanami prawosławie i używali tego pierwotnego języka słowiańskiego, jaki dotąd zachował się w kościelnych księgach prawosławnych. Potwierdzenie téj myśli znajdujemy w niedawno nam nadesłanéj, bardzo poważnéj i głęboko naukowéj broszurze, w języku ruskim, pod tytułem: „Krótki przegląd ruskiego pismiennictwa od wprowadzenia chrześcianizmu do najścia talarów p. Onufrego Lepkiego; Lwów; 1869 r." Szanowny autor galicyjski przytacza następujące oryginalne wyciągi z dzieł znanego polskiego uczonego, Łukaszewicza: „Na drodze dziejowéj poczyna być udowodnionem, że w Polsce przód był zaprowadzony obrządek słowiański podług greckiego, nim wszedł łaciński. To zmusza nas do przyjęcia żeśmy w ciągu X stulecia (jeżeli już nie od czasu Metodego...) przez udział w obrządku słowiańskim używali także ksiąg kirylicą pisanych jakiemi były: służba Boża i pismo święte." (Rys dziejów piśmiennictwa polskiego, Poznań 1860 r., str. 5). Tamże na str. 8 czytamy: „Słowa napotykane w najstarszych pomnikach piśmiennych polskich, ośmielają do wniosku, że w czasie, w którym chrzest iwiarę przyn oszono nam od Wschodu, był w użyciu kościelnem także u nas język bułgarski czyli cerkiewny." Do tego dodamy, że nabożeństwo słowiańskie według obrządku greckiego, trwało w Krakowie do XIII wieku (patrz Zubryckiego krytyczno-historyczna „Powieść Czerwonéj Rusi", przekład Bodjarskiego str. 20 i nast.). Żeby postawić taki fakt, jak cywilizacyjny wpływ św. Cyryla i Metodyusza na starożytną Polskę, powyżéj nad wszelką wątpliwość i poi dejrzanie o stronność, przytaczamy tu zdanie polskiego uczonego Augusta Bielowskiego (z przedmowy do nowego wydania słownika polskiego Lindego, str. 10 i 11): „Historya słowian w IX i X wieku, w miarę jak ją dokładniéj poznajemy, przekonywa nas, że kolebka języka cerkiewnego (to jest cerkiewno-słowiańskiego), głównie była tam, gdzie była i kolebka organizowanego społeczeństwa polskiego, mianowicie w Wielkiéj Morawyi. Opowiadana tam przez Cyryla i Metodyusza nauka, przeszła późniéj do chorutanów Kocioła i Borysowych bulgarów (co do tego ostatniego, Bielowski wprowadzony został w błąd przez rozpowszechnione teraz u słowian zachodnich mylne mniemanie jakoby pismo słowiańskie naprzód utworzone było dla Morawii), lecz niwą, na którą głównie padły nasiona apostołowania, i gdzie przyniosły pierwsze owoce, byli słowianie Rościsława i Świętopełka, których dziedzictwo rozciągało się do źródeł Bugu i lewego brzegu Wisły. Wyrobiony pomiędzy tymi słowianami pierwszy język piśmienny, w którym rozpowszechniana była pomiędzy nimi wiara Chrystusa, stał się wzorem piśmiennictwa dla wszystkich słowian, i wszystko co się pisało w Polsce przez krajowców, tak natenczas, jak i długi czas po tém, pisało się nie inaczéj, literami wynalezionemi przez Cyryla." Jawnie o tém świadczy: starożytna legenda o Cyrylu, moneta Bolesława Chrobnego z napisem kirilicą, kronika Jarosława kanonika płockiego (należącego do obrządku łacińskiego), napisana przez niego kirilicą w 1219 roku, na którą powoływał się biskup pruski Krystyan, i ślady któréj teraz odszukane zostały w archiwum królowieckiem, jeszcze starożytniejsze polskie książki pisane tym alfabetem, wspominane przez Niesieckiego i innych wiarogodnych świadków, oddzielne litery kirylicy, które mimowolnie wymknęły się z pod pióra pisarza Małgorzaty, i inne podobne pomniki, dostatecznie potwierdzają słuszność tego co było powiedziane wyżéj. I tak, „kirylica była niegdyś wszędzie używana w Polsce, a na-

pisane przez Metodyusza i jego następców cerkiewno-słowiańskie księgi, były wzorem według którego, my jak inni słowianie, obrabialiśmy nasz pierwiastkowy język piśmienny, dopóki język ten, około XIV wieku, nie został wyparty wpływem czeskiego. Może być że wydana w 1851 roku przez Miklosicza kronika supraślska w którój znajdujemy szczególne litery nosowe, i najwięcéj słów według dzwięku i znaczenia, odpowiadających polskim, okaże się przy starannem zbadaniu, jednym z pomników kirylicy, pisanych w Polsce. Rękopism ten, jak wiadomo należy do czasu nie późniejszego od XI wieku". Takie są kompetentne świadectwa z polskich źródeł o religijnéj i filologicznéj tożsamości starożytnych polaków z rosyanami, — świadectwa, które przy obecnem odosobnieniu polaków w rodzinie słowiańskiéj, nabierają nader pouczającéj wagi. Zakończymy o znaczeniu supraślskiego rękopismu, sądem znanego słowianofila Hilferdinga (Zbiór dzieł; t. 1, str 232): „Domysł Bielowskiego o polskiem pochodzeniu rękopismu supralskiego, gdyby się potwierdził, byłby tém ważniejszy, iż posłużyłby za najpewniejsze świadectwo istnienia w Polsce w XI wieku nietylko pisma kirylicą, ale i wchodniego wyznania, albowiem rękopism zawiera w sobie żywoty dawnych świętych, przetłumaczone z greckiego i nauki greckich ojców kościoła, pomiędzy innemi i patryarchy Focyusza, który był nienawistny Rzymowi; nie ma w nim najmniejszego śladu łacinizmu". Wszystko to dowodzi, jak daleko polacy następnie zboczyli z pierwiastkowéj swój drogi rozwoju słowiańskiego.

My zgoła nie zaprzeczamy, że obrządek Słowiański istniał u nas: istniał niezawodnie ale za pozwoleniem Rzymu. Schizmy nie było.

Autor robi zarzut Polakom, że przyjęli obrządek łaciński. Nicby im był niepomógł i słowiański pierwotny w obec schizmatyckiéj Rosyi. Historya unitów litewskich świadczy wymownie o co chodzi Moskwie i jak ona swoje posłannictwo względem pobratymczych szczepów pojmuje.

Wiadomości potoczne.

— W niedzielę dnia 27. lutego były w klasztorze Karmelitanek poznańskich obłóczyny panny Kaźmiry Grabowskiéj. Mszę odprawił JW. ksiądz biskup Stefanowicz, po mszy przemówił serdecznie i obrzędu dopełnił.

— Dnia 26. lutego zamknął oczy arcybiskup lugduński kardynał Ludwik Karól Maurycy de Bonald. Zmarły był synem sławnego katolickiego pisarza, autora ważnego dzieła: *Théorie de pouovir politique et religieux* i wielu innych, przyszedł na świat w r. 1787. Od 47 lat piastował godność biskupią, od r. 1839. zasiadał na stolicy arcybiskupiéj w Lugdunie. Kardynałem uczynił go Grzegorz XVI. w r. 1841. z tytułem kardynalskim kościoła Najśw. Trójcy na Monte Pincio. Cnotę jego, pobożność i wielką powagę szanowano powszechnie. Śmierć jego jest wielką stratą dla Kościoła i dla Stolicy apostolskiéj, któréj wiernie i po synowsku zawsze się trzymał.

— Wedle prawdopodobnych pogłosek, arcybiskupem lugduńskim zostanie ks. Ginoulhiac, biskup z Grenobli. Mówią, iż departament jeden oddzielony zostanie od Archidyecezyi lugduńskiéj i utworzy nową dyecezyę St. Etienne.

— Autor listu *z miasta*, którýśmy w niniejszym numerze umieścili, wspomina, że trudno od nas wymagać, abyśmy przedrukowali niesłychane bałamuctwa i fałsze z Nr. 9. *Tygodnia*. Nie możemy jednak pominąć całkowicie tych niegodziwości i choć nieco przytoczymy, aby nasi czytelnicy dobrze wiedzieli czego sobie pozwala P. Kraszewski i jego nie rzymski, ale pod rubryką Rzymu piszący korespondent. Wyłożywszy o zamachu jaki ultramontanizm chciał obecnie zadać Kościołowi polskiemu, co wszystko autor listu *z miasta* doskonale streścił, pisze on:

Możnaby tu zapytać: — Czém jest zgromadzenie Zmartwychwstańców? — a odkładając na stronę straszne i krwawe definicye, jakie się mimowolnie nasuwają, możnaby je orzec w ten sposób: — Jestto wielka redakcya soborowych korespondencyi. Widocznie Zmartwychwstańcy chcą naśladować u nas zakonno-redakcyjne zgromadzenie *Civiltà cattolica*, chociaż się jezuici ich zapierają i powiadają, że ich nie znają — zamiast kapłańskiéj pracy w téj *officina magna* wre praca dziennikarska, wylatują z gorączkową czynnością niezliczone artykuły i korespondencye do *Czasu*, do *Unii*, do *Dziennika poznańskiego*, do *Przeglądu polskiego*, do *Tygodnika katolickiego*, ba nawet do *Correspondance de Rome*, do *Univers'a*, do *Unità cattolica* i t. d. Niewiem, czy śp. Jański przepisał trud dziennikarski w regule swojéj; to jednak pewna, iż całe niemal dziennikarstwo polskie dziś w ręku Zmartwychwstańców zostaje. Czém zaś mowa nasza.

Mowa z serca wykochana
Jak anielskich rąk narzędzie,
Taka strojna i ograna,

staje się w tych korespondencyach, niech nam posłuży za przykład ten okres koresp. tak samo się urągający składni, jak się list jego rozsądkowi urąga: „Ojciec św. udał się do kolegium francuzkiego, gdzie biskup z Nimes, Plantier mieszka, a w ostatnim czasie rozniemógł się, aby dać mu dowód swéj pamięci." Koresp. szumnie nam donosi, że ks. Gałecki biskup krakowski i ks. Sosnowski za „koalicyą" się oświadczywszy stanęli obok prymasa Ledóchowskiego. Wiemy jednak, że to przystąpienie do koalicyi nie jest szczęściem ani tak zupełném ani tak stanowczém, jakby to chciał w nas wmówić zmartwychwstański korespondent. Wszystkie usiłowania, aby ks. Sosnowskiego ściągnąć do pałacu Odescalchi, okazały się bezskutecznemi. Wiadomo, iż w pałacu tym obraduje dziś głównie polska redakcya i rozwija swą czynność monsignor C. . . ., niemogący już jéj tak wszechwładnie rozwijać na szkodę Polaków w Watykanie, w sekretarstwie stanu i w wikaryacie, na tém troistém polu jego popisów. Czcigodny i pełen patryotycznego uczucia administrator lubelski poczuł snać, jaki duch z tamtąd wieje i co się tam święci. — Jakoż zapewniają nas, iż jeden z członków Soboru, który chciał zaprotestować na posiedzeniu przeciwko gwałtom moskiewskim w Polsce, został odwrócony od tego zamiaru przez monsignora C. . . . z obawy aby taki protest nie przeszkodził układom z Moskwą. Jeśli zaś te pomyślny otrzymają skutek, monsignor C. . . . ma się spodziewać purpury kardynalskiéj W razie zaprzeczeń, radzibyśmy, aby wzmiankowany członek Soboru pozwolił wymienić swe nazwisko, co od niego a nie od nas zależy.

Innego téż mamy wcale dzięki Bogu odmiennego prałata w Rzymie, tym jest monsignor Ludwik Wolański, szambelan i prałat domowy Jego Świątobliwości. Liczne jego zajęcia jako teologa kardynała Amata i referendarza najwyższego sądu, nie dozwalają mu wchodzić w stosunki z rodakami swymi. Rzadko więc go spotkać można w tutejszych wyższych sferach. Zajęty przytém, jak słychać, ukończeniem obszernego i uczo-

nego dzieła o prawie kanonicznem. W kwestyach politycznych msgr. Wolański zachowuje się całkiem biernie, co u niektórych osób wznieca obawę, aby nie uległ wpływom ks. Ledóchowskiego, z którym go łączą osobiste stosunki. Życzymy z duszy aby ta obawa okazała się bezzasadną.

Uwag tu żadnych nie potrzeba, poprzestaniemy tylko na oświadczeniu, że ani korespondent nasz rzymski, ani autor *Kroniki Soborowéj* nie są Zmartwychwstańcami jéno księżmi świeckiemi z naszych archidyecezyi czasowo bawiącemi w Rzymie.. Niezawodnie bardzo byśmy chętnie od Zmartwychwstańców pomoc podobnego rodzaju przyjęli, ale w tym razie rzecz się ma inaczéj i notując fakt, dowodzimy także nieskrupulatności korespondenta Brzuchomówcy.

Nie możemy także pominąć niegodziwéj wzmianki następującéj:

Jeden z mówców na Soborze zauważył, iż 150 księży na Soborze utrzymuje nałożnice, a inny na to odpowiedział: że na 6000 kapłanów, 150 było ilością małe znaczącą.

Potrzebaż zaręczać, że to fałsz bezecny. Ksiądz Arcybiskup Darboy nigdyby takiéj sromoty nieścierpiał a liczba duchownych w Paryżu ani tysiąca nie wynosi.

— O korespondencyach rzymskich do *Kraju* nie wspominamy już od niejakiego czasu. Są po prostu bezecne i najgorszą nacechowane wiarą. Zrobimy wyjątek dla korespondencyi zamieszczonéj w Numerze z 27. lutego pod literą z.

Korespondencya pod literą S zawiera także rzeczy ciekawe; n. p. że Papież tak się wystraszył nowego zwrotu polityki francuzkiéj, że nie może ukryć niepokoju swego; ale nam chodzi o list korespondenta Z, korespondenta Brzuchomówcy. Ten donosi:

Smutna wiadomość, którą otrzymaliśmy ze Lwowa, że kanonik Morawski proponowany jest na wakującą stolicę przemyską, potwierdza się. Ksiądz Morawski, dawny wolterjanin, a dziś przyjaciel od serca zmartwychwstańców, z którymi ścisły zawiązał sojusz, jest gorąco popierany przez księżnę O., która jak wiadomo ma znaczne wpływy w Watykanie, skoro tym wpływom tutejsza reakcya nasza zawdzięczała dotychczas całą swą potęgę.

Ksiądz Morawski tedy blizkim się już widzi infuły biskupiéj, jeżeli mieszkańcy Galicyi nie oprą się temu. Obiór ten byłby nader niekorzystnym dla kościoła polskiego i dla kraju, ile że kanonik Morawski stał się dziś prostém narzędziem w ręku zgromadzenia zmartwychwstania pańskiego; a jeżeli tak gorąco upragnionego biskupstwa dostąpi, sprawdzą się słowa jednego z ojców twierdzącego, że „aby w któréjbądź dzielnicy Polski biskupem zostać, trzeba posiadać fawor zmartwychwstańców; zostawszy zaś nim, należy nie zadzierać nigdy z nimi i być im posłuszném we wszystkiém pod karą utraty wpływu w kraju, a wiary i łaski u stolicy świętéj.“

Owóż kanonik Morawski nietylko jest im posłuszym, ale w zamian za pastorał, który mu wyrabiają obecnie, gotów wszelkie ofiary czynić dla nich i bądzcobądź sprowadzić ich do Przemyśla.

Na innych biskupów galicyjskich zmartwychwstańcy liczyć już dzisiaj nie mogą. Owszem „święta koalicya“ utraciła całkowicie pomoc obu arcybiskupów lwowskich i biskupa tarnowskiego. Dlategoto mści się tak zawzięcie na nich, rozgłaszając o nich po całym Rzymie niestworzone rzeczy. Pod pozorem udanego uszanowania i zmyślonéj uległości, gdy z nimi mówi lub o nich pisze, „święta koalicya“ rozgłasza o nich najzłośliwsze i najfałszywsze pogłoski, a zaocznie i prywatnie, w poufnych i tajnych doniesieniach, co tak przeważną rolę grają w Rzymie i bywają częstokroć osią spraw tutejszych, nie ucieka się nawet do tych pozorów, nie żenuje się wcale, — ale śmiało i stanowczo odsądza ich od czci i wiary. Biskupi nasi, odkąd się odsunęli od prymasa, zmartwychwstaóców i całéj „koalicyi świętéj“, przekonają się osobiście i na miejscu, jak zgromadzenie i jego związek umieją systematycznie niszczyć dobrą przeciwników swoich sławę, okłamywać i oskarżać, dopóki ich nie obalą.

Wiadomo, że zmartwychwstańcy zostali mistrzami ceremonii u pani J. B. z domu M., Polki, wydanéj za bogatego cudzoziemca i damy honorowéj jednego z dworów zagranicznych. Pani B. daje wieczory dla Ojców Soboru i dla całego stronnictwa pana Veuillota. Wieczorami zaś temi kierują nasi Ojcowie. Kwiat arystokracyi angielskiéj i rzymskiéj na nie uczęszcza wraz z najgorętszemi stronnikami dogmatycznéj definicyi papiezkiéj.

Zmartwychwstańcy mają tam obszerne pole do najświetniejszych popisów, mogą bawić sie zbawiennym połowem stokroć milionowych lordów i parów zjednoczonego królestwa Wielkiéj Brytanii. Zaś pani B., która jest jedną z ich najprzywiązańszych córek i uczennic i wiernie księżnę O. naśladuje, uznała niezbędność na wzór téj pani otrzymania cudu.

Wiadomo, że księżna często cudownie uzdrawianą bywa do czego z resztą znane jéj cnoty, pobożność i duch miłosierdzia zupełnie jéj prawo dają. Pani B. nie dała się w tém wyprzedzić. — Jakoż zaraz po niedawnym środowym wieczorze swoim zachorowała niebezpiecznie; choroba wzmagała się codziennie aż do następnéj środy, w którą całkiem stracono nadzieję. Dnia tego zmartwychwstańcy i osoby zbierające się zwyle w jéj eleganckim salonie gorąco sio modliły i.... cud się stał niezwłocznie. Nazajutrz oznajmiono wszystkim, że pani B. przyjmuje, chociaż była konającą we środę.

Na tak zdumiewającą wieść *les habitués* dostojnéj damy zbiegli się tłumnie, nie wierząc uszom ani oczom swoim i gorące śląc dzięki do Najwyższego, że błagania ich wysłuchać raczył. Zastali panią B. na szezlongu w bardzo ozdobnym negliżu białoróżowym, powiewnym i przezroczystym. Piękne jéj złote włosy wykradały się w artystycznym nieładzie z pod czepka w róże przystrojonego; drobna jéj nóżka ujęta była w różowe obuwie. Z jednéj strony kosze pełne kwiatów i wonnych ziół zwieszały rozkwitłe gałązki na jéj ramiona, z drugiéj strony misterna szyfonjerka pełna dzienników katolickich i całego stosu najświeższych pism o nieomylności Ojca świętego zasłaniała ją od przeciągu powietrza i bezbożnego liberalizmu.

W postawie, ale nie w stroju, w jakim dłuto Kanowy unieśmiertelniło księżnę Paolinę Bonaparte, pani B. w różowym swym negliżu i okryta bladością, która dodawała nowe powaby do jéj zwykłéj alabastrowéj pulchności, — była jeszcze wcale ładną i mogła obudzić myśl płochą w niejednym z jéj pobożnych gości. Głosem słabym i dźwięcznym opowiadała ona wszystkim cud, jakiego doznała za przyczyną Ojców zmartwychwstańców.

Łaska ta przez nich wyjednana przyczyni się zapewne do ustalenia sławy i kredytu zgromadzenia na przestrzeni Albionu.

Mniéj pomyślnymi były zabiegi jego w nowym świecie, w Zjednoczonych Stanach. Wiadomo, iż O. Hieronim Kajsiewicz od dawnego czasu osobiście i listownie starał się, aby Zborowscy, owi milionowi amerykańscy potomkowie słynnego

polskiego rodu, przepędzili zimę w Rzymie. Chodziło bowiem o ich nawrócenie, mogące w zamian za pracowicie przeprowadzone zbawienie ich dusz, ściągnąć na zgromadzenie niebieską rosę — złoty deszcz Danai. W pałacu O.., który jest połączoném ministerstwem spraw zagranicznych i finansów świętego Klaudyusza, nawrócenie to było rzeczą postanowioną. Równie dumna jak zacna księżna, pani domu, nie wahała się pierwsza złożyć bilet Zborowskim, gdy nareszcie przybyli do wiecznego miasto na teraźniejszą zimę. Następnie dawała dla nich obiady i wieczory za poradą zmartwychwstańców, a w końcu gdy do stanowczych kroków przyszło, złożyła znaczną ofiarę na umyślną nowennę o ich nawrócenie w kościółku *San Romualdo*, niedaleko jéj pałacu położonego, przy samym końcu *Corso*. Nowenna ta była urządzona z całym religijnym przepychem, właściwym Rzymowi. O. Hipolit, uczeń wyklętego dziś O. Hyacynta, do którago zanim się uwikłał w farmazońskie błędy, dostojna księżna tak niewymowny czuła zapał, proszony był przez nią o konferencye i miewał je codziennie w pomienionym kościółku. Państwo Zborowscy zostali zaproszeni na nie. Księżna i zmartwychwstańcy nie wątpili, że nie zdołają się oprzeć wymowie słynnego kaznodziei i że łaska Boża oświeci ich jak najrychléj.

To co poprzedza, jest wierutnem kłamstwem, bo ani szanowny ze wszech miar kanonik Morawski nie jest proponowany na stolicę biskupią w Przemyślu, ani nikomu na myśl nie przychodzi księży arcyciskupów lwowskich i księdza biskupa Tarnowskiego od czci i wiary odsądzać. I reszta zupełnie zmyślona z wyjątkiem, że pani B. którą tak dziwacznie, tak fantastycznie, tak nieprzyzwoicie i tak nieprawdziwie przedstawia, chorowała nieco przed dwoma tygodniami. Korespondent Brzuchomówca wszystkiego sobie pozwala i rzuca się na wszystkich i na wszystko. Wygodny to sposób mszczenia uraz osobistych i odbijania się za doznane z własnéj winy zawody i upokorzenia; ale jak takie praktyki pogodzić z najsprostszą sprawiedliwością i uczciwością?

— Że każda potwarz, choćby najnieprawdopodobniejsza krzewi się jak chwast, na to many nowy dowód w chwili obecnéj. Pogłoski o intrygach na korzyść Rosyi, w Rzymie przedarły już się i do tutejszych pism niemieckich. Bajki wymyślone przez P. Kulczyckiego odbijają się echem i w *Bromberger Zeitung* (z 26. lutego) i nawet w naszéj *Pozenerce*.

— Od komitetu akademickiego w Gryfii otrzymujemy następującą

Odezwę.

W północnym katolickim świecie jest Gryfia na Pomorzu, jako miasto uniwersyteckie, jedną z najważniejszych stacyi misyonarskich. Do gminy tutejszéj, oprócz nielicznych zamieszkałych tu prawowiernych, należą katolicy akademicy z wszystkich katolickich państw Pruskich, a między nimi także akademicy Polacy z Wielkiego Księstwa Poznańskiego. W każdém półroczu liczy uniwersytet około 200 katolickich studentów. Pomimo to jednak odbywa się tu ciągle jeszcze nabożeństwo w nizkim, ciasnym, niewygodnym i już walącym się domu, który gmina przed wielu laty ze szczupłych bardzo składek zakupić zdołała. Czcigodny kapłan tutejszy ks. Priesnitz, troskliwy wielce o swe owieczki, piérwszy przed rokiem poruszył sprawę wybudowania tu kościoła z funduszów, któreby od łaskawych dobrodziejów i gorliwych katolików wpływały. Kamień węgielny do przyszłego kościoła położono publicznie już w dniu sekundycyi Ojca św. wśród licznego udziału katolików i protestantów. Popierając myśl szanownego Pasterza, postanowili katolicy akademicy w Gryfii przyczynić się do pobudzenia w tym względzie dobroczyńców i wybrali komitet, który w przeciągu roku jednego około 300 próśb w świat katolicki rozesłał. Jakkolwiek tylko mniéj więcéj 3 część z petycyi tych pomyślnemi uwieńczoną została odpowiedziami, to jednak zebrała się już na cel wybudowania kościoła w Gryfii znaczna summa, bo 9000 talarów, które świadczą, iż z zapałem myśl ta przez wielu przyjętą została. A że w mieście tutejszém, jako uniwersyteckiém, dom boży, o ile tylko można, odpowiednio powinien być wzniesiony, przeto plan budowy powierzono panu H. Schneider z Akwizgranu, który cenę kościoła oznaczył na 20,000 talarów. Brak więc jeszcze, po otrzymaniu składek z największych źródeł dobroczynności, przeszło połowa funduszów, których zebranie bardzo tutejszéj gminie, jako też niżéj podpisanemu komitetowi leży na sercu. Nie znając innéj rady nad udanie się do pobożnych dusz katolickiego świata, wzywamy wszystkich przychylnych świętéj téj sprawie z prośbą, aby raczyli popierać piękną myśl ks. Priesnitza i składkę na ten cel przyczynili się do rychłego wystawienia w tutejszém mieście domu bożego, który jako dar złożony Ojcu św. Piusowi od katolickiéj młodzieży akademickiéj na brzegach Baltyku świadczyć będzie o żywotności katolickiego ducha na północy i o prawdzie, że wykształcenie tylko w połączeniu z żywą wiarą prawdziwą ma wartość. Gdyby zaś, czego się nie spodziewamy, dary nie miały obficie płynąć, natenczas bardzo długo cierpiećby musiała uboga gmina tutejsza, zanimby z własnych składek zdołała złemu zaradzić. Mocną mamy nadzieję, że szanowne duchowieństwo, jako też wszyscy gorliwi o dobro Kościoła katolickiego uwzględnią naszą odezwę i składkę, złożoną na ręce ks. Priesnitza, wesprą dobre zamiary.

Gryfia w lutym 1870 r.

Komitet akademików związku św. Bonifacego:

H. Gerlach, cand. med. przełożony.
A. Jurasz, cand. med.
T. Zielewski, stud. med.
H. Stratmann, Dr. med.
Fr. Rogala, stud. med.
A. Kempa, stud. med.
C. Westhoff, cand. med.
E. Bodde, stud med.
H. Lohmann, stud. med.
R. Teuber, Dr. med.

Nakładzca i Redaktor ks. Stagraczyński w Poznaniu. — Czcionkami drukarni Tygodnika katolickiego (A. Schmaedicke) w Poznaniu. W komisie L. Streisandta w Grodzisku.